

Moravia Albert

Mario

Nowele :

SPIS TREŚCI

Mario

Przyjaciele nie mają pieniędzy

Postrach Rzymu

Pechowiec

Przyjaźń

List

Chiński pies

Pośrednik

Nieszczęśliwy człowiek

Koszmaryny dzień

Mario
(Mario)

A było to tak: rano wstałem wcześniej – Filomena jeszcze spała – wziąłem torbę z narzędziami i po cichu wysunąłem się z domu. Poszedłem na Monte Parioli, na ulicę Gramsciego, gdzie popsuł się piecyk w łazience. Ile czasu mogła mi zająć naprawa? Z pewnością około dwu godzin, bo musiałem rozebrać całą rurę, a potem wmontować ją z powrotem. Kiedy skończyłem robotę, autobusem, a potem tramwajem pojechałem na ulicę Coronari, gdzie znajduje się moje mieszkanie i sklep, w którym pracuję. Zwróćcie uwagę na czas: dwie godziny na Monte Parioli, pół godziny dojazd, drugie pół godziny powrót. Cóż to jest trzy godziny? Dużo i mało, zależnie od okoliczności. Ja byłem zajęty trzy godziny naprawą ołowianej rury; tymczasem ktoś inny,,

Ale nie sprzedajmy faktów. Idąc szybko wzdłuż domów, u wylotu ulicy Coronari usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu; obejrzałem się: była to Fede, staruszka odnajmująca pokoje w kamienicy naprzeciw nas. Ta Fede, biedaczka, ma tak nabrzmiałe nogi z powodu reumatyzmu,

że wygląda jak słoń. Zagadnęła mnie, zdyszana:

– Jakież dzisiaj wiatr! Idziesz w tamtą stronę? Pomożesz mi nieść koszyk?

Odpowiedziałem, że chętnie to zrobię. Przełożyłem torbę z narzędziami na drugie" ramię i wziąłem od niej koszyk. Ona szła obok mnie, miała szeroką spódnicę i powłóczyła tymi nożyskami, przypominającymi kolubryny. Po chwili zapytała: – A gdzie jest Filomena?

Odpowiedziałem: – A gdzieżby miała być? W domu.

– No tak, w domu – odrzekła na to – to oczywiste.

Zapytałem, ot tak, aby cokolwiek powiedzieć: – A dlaczego to jest takie oczywiste?

A ona na to: – No, bo oczywiste... ach, mój biedny chłopcze!

Obudziło się we mnie jakieś niejasne podejrzenie, milczałem przez chwilę, wreszcie spytałem z naciskiem: – Ale dlaczego biedny?

– Bo mi ciebie żal – odrzekła ta czarownica nie patrząc na mnie.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że dzisiaj czasy się zmieniły... ? teraz kobiety nie są już takie jak za moich cza-- sów.

– Dlaczego?

– Za moich czasów mężczyzna rfiógl ze spokojnym sercem zostawić kobietę w domu i jaką ją zostawił, taką zastawał po powrocie. Natomiast dzisiaj...

— No więc?

|- Dzisiaj tak nie jest... , dość już... daj mi koszyk, dziękuję ci bardzo.

Dobry humor, jakim napełnił mnie piękny ranek, przepadł bezpowrotnie, czułem się jak struty. Przytrzymałem koszyk i powiedziałem: – Nie oddam koszyka, póki mi pani nie wytłumaczy, co ma z tym wszystkim wspólnego Filomena.

.– Ja nie wiem o niczym – odrzekła – ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Ale cóż takiego mogła zrobić Filomena?! – wykrzyknąłem.

— Zapytaj Aldagisy – odpowiedziała, wyrwała mi koszyk i oddaliła się z nie spotykaną u niej chyżością; jej szeroka spódnica aż falowała w biegu.

Pomyślałem, że nie mam po co wracać do sklepu, i zawróciłem, aby udać się na poszukiwanie Aldagisy.. Na szczęście, • ona także mieszkała na ulicy Coronari. Z Aldagisą byłem zaręczony, zanim poznałem Filomenę. Została starą panną i podejrzewałem, że to ona wymyśliła tę całą historię o Filomenie. Wszedłem na czwarte piętro; zacząłem walić pięścią w drzwi i o mało co nie trafiłem jej w twarz, bo otworzyła drzwi zniechęca. Rękawy miała zawinięte po łokcie, w ręku trzymała miotłę. Powiedziała cierpko: – Czego chcesz, Gino?

Aldagisa była to dziewczyna nieduża, o miłej powierzchowności, szpecił ją tylko wystający podbródek, z powodu którego przezywano ją jędzą.

Ale nie było powodu mówić jej tego w oczy. Ja jednakże, rozsierdzony, właśnie tak odezwałem się do niej: To ty, jędzo, rozsiewasz plotki, że kiedy ja siedzę w sklepie, Filomena wyprawia w domu jakieś hece.

Ona wlepiła we mnie zagniewane oczy: – Zachciało ci się Filomeny, masz Filomenę.

Wszedłem i schwyciłem ją za ramię, ale zaraz puściłem, bo w spojrzeniu jej była jakby nadzieja. Powiedziałem: – A więc to ty?

- To nie ja. ~ co usłyszałam, to powtórzyłam.
- A kto ci to powiedział?
- Giannina.

Nic nie powiedziałem i skierowałem się ku wyjściu, ale ona zatrzymała mnie i dodała spoglądając zaczepnie: – Tylko żebyś już mnie - więcej nie nazywał jędzą.

– A co? Może nie masz wystającego podbródka? – odpowiedziałem Wyrwałem się i na łeb na szyję zacząłem zbiegać po schodach. i JJ

' – Lepiej być _jędzą niż rogaczem – zawołała przechylając się przez poręcz.

Mój zły humor doszedł do zenitu. Nie chciało mi się pomieścić w głowie, żeby Filomena mogła mnie zdradzić, bo przez te trzy lata, od kiedy pobraliśmy się, była dla mnie najczulszą żoną. Ale wiadomo, czym jest zazdrość. I teraz, w świetle tego, co mówiły Fede i Aldagisa, owe czułości wydały mi się właśnie dowodem zdrady Filomeny. Ale o tym dość. Giannina była kasjerką w pobliskim barze. Była to limfatyczna

blondynka, o przylizanych włosach i oczach jak z błękitnej porcelany. Spokojna, powolna, opanowana. Podszedłem do kasy i powiedziałem szeptem: – Powiedz no, czy to ty rozpuściłaś plotkę, że Filomena podczas mojej nieobecności przyjmuje gości w domu?

Giannina obsługiwała właśnie klienta. Wystukała palcami cenę na maszynie do liczenia, oderwała kupon i nie podnosząc głowy zrobiła zamówienie: – Dwa ekspresy! – po czym zapytała: – Go^ mówięś, Gino?

Powtórzyłem pytanie. Ona wydała klientowi resztę, a potem odpowiedziała: – Na litość boską, Gino! Czy sądzisz, że mogłam robić takie plotki o Filomenie, mojej najserdeczniejszej przyjaciółce?

–A więc Aldagisa wysłała to sobie z palca?

– Nie – sprostowała Giannina – nie wysłała z palca, ale nie ma w tym mojej winy, ja tylko powtórzyłam

Nie mogłem x powstrzymać się od wykrzyknika: – Ach, prawdziwa z ciebie przyjaciółka!

–Ale powiedziałam także, że ja w to nie wierzę, tego na pewno nie powtórzyła ci Aldagisa.

–A kto ci o tym opowiadał?

–Vincenzina... przyszła. do mnie umyślnie z pralni, żeby mi to powiedzieć.

Wyszedłem bez pożegnania i poszedłem prosto do pralni. Już z ulicy zobaczyłem Vincenzinę, która stała przy stole i prasowała przyciskając

oburącz żelazko. Vincenzina, dziewczyna drobna, o płaskiej, kociej twarzy, ciemna, pełna temperamentu, miała do mnie słabość i ja wiedziałem o tym; istotnie, ledwie zdążyłem kiwnąć palcem, a już zostawiła żelazko i znalazła się na 3 ulicy.

Powiedziała: – Co za szczęśliwy dzień, że ciebie widzę, Gino!

Ja na to: – Czy to prawda, ty wiedzmo; że rozpowiadasz dokoła, że Filomena korzysta z mojej nieobecności i przyjmuje w domu mężczyzn? – A ona, rozczarowana, grzebiąc rękami w kieszeniach fartucha: – A co, czy ci to nie dogadza?

– Odpowiedz –. nalegałem – to ty wymyśliłaś? Powiedz!

– Patrzcie, jaki zazdrosny! – odrzekła wzruszając ramionami. – A cóż to takiego, czy to kobiecie nie wolno zamienić dwu słów ze znajomym mężczyzną?

– A więc to ty!

– Wiesz co? Budzisz we mnie litość – powiedziała nagle ta żmija. – Co mnie może obchodzić twoja żona; a plotek żadnych nie robiłam, dowiedziałam się o wszystkim od Agnese, która wie nawet, jak tamten ma na imię. .

– Jak ma na imię?!

– Niech ci to ona powie!

Teraz miałem już pewność, że Filomena mnie zdradza. I pomyślałem mimo woli: “Co za szczęście, że nie mam przy sobie żadnego ciężkiego narzędzia, bo mógłbym przecież stracić głowę

i zamordować ją!" Nie mogłem zebrać myśli: Filomena, moja żona, z innym! Wszedłem do sklepu tytoniowego, gdzie Agnese w zastępstwie ojca sprzedawała papierosy. Rzuciłem pieniądze na ladę: – Dwa nazionale!

Agnese, siedemnastoletnia panienka, ze strze-ehą zmierzwionych puszystych włosów na głowie, twarz miała bladą, bez rumieńców, przypudrowaną różowym pudrem, a oczy czarne jak ciareczki. Znałem ją tak, jak znali ją wszyscy na tej ulicy. I to, co wiedzieli wszyscy, wiedziałem i ja, a mianowicie, że Agnese jest chciwa, że za pieniądze zaprzedałaby duszę diabłu. Kiedy podawała mi papierosy, pochyliłem się i zapytałem:– Powiedz mi: jak on się nazywa?

– Ale kto? – zapytała zdziwiona.^s

– Przyjaciel mojej żony.

Spojrzała na mnie z§ przerażeniem, musiałem mieć straszny wyraz twarzy.

Odpowiedziała bez chwili namysłu: – Nie wiem o niczym.

Usiłowałem się uśmiechnąć: – No, powiedzże mi. Wiedzą już o tym wszyscy, tylko ja jeden nie wiem.

Wpatrywała się we mnie potrząsając głową, więc dodałem: – Spójrz tylko, jeśli mi powiesz, dam ci to ■– i wyciągnąłem z kieszeni banknot tysiąclirowy.

N.a widok pieniędzy zmieszła się tak, jakbym jej zaczął mówić o miłości. Wargi jej drżały, rozejrzała się dokoła i położyła rękę na banknocie, mówiąc cicho: – Mario.

– A skąd wiesz o tym?

– Od waszej dozorczyńi.

A więc to była prawda! Wydawało mi się, że dobiegam już do mojego domu, że jestem już w moim mieszkaniu! Wypadłem ze sklepu i popędziłem do naszej kamienicy, od której dzieliło mnie kilka domów. Powtarzałem bez przerwy: "Mario!" I na dźwięk tego imienia wszyscy Mariowie, jakich znałem, zaczęli przesuwać mi się przed oczyma: "Mario mleczarz, Mario stolarz, Mario sprzedawca owoców, Mario eks-żołnierz, który był teraz bezrobotny, Mario syn rzeźnika, Mario, Mario, Mario... W Rzymie Mariów jest około miliona, a na samej ulicy Coronari znalazłoby się ich ze stu. Wszedłem do bramy mego domu i skierowałem się prosto do okienka dozorczyńi. Stara i wąsata, jak Fede, siedziała rozkraczona, z miską między kolanami, pełną cykorii, którą obierała. Spytałem zaglądając do okienka: – Powiedzcie mi, proszę, czy to wy rozpuściliście tę plotkę, że Filomena podczas mojej nieobecności przyjmuje u siebie jakiegoś Maria?

Rozzłoszczona odpowiedziała z miejsca: – Jaką znowu plotkę? Twoja żona sama mi o tym powiedziała.

– Filomena?!

– No, tak... powiedziała ma: "Przyjdzie tu pewien młody człowiek, wygląda tak a tak, na imię ma Mario... gdyby Gino był w domu, proszę powiedzieć mu, żeby nie przychodził... ale gdy

by Gina nie było, niech wejdzie na górę". Teraz właśnie jest na górze. -- Jest na górze?

– A jakże by inaczej... przyszedł godzinę temu. A więc Mario nie tylko że istniał, naprawdę, ale już od godziny siedział w mieszkaniu z Filomeną. Wpadłem na klatkę schodową, pędem pobiegłem na górę i zastukałem. Otworzyła mi Filomena we własnej osobie. Zauważyłem od razu, że moja żona, tak zazwyczaj pogodna i opanowana, przejawia pewien niepokój. Powiedziałem: – No co, aniołku, kiedy nie ma mnie w domu, przyjmujesz u siebie- Maria?

–i Ależ... – zaczęła mówić.

– Wiem o wszystkich – krzyknąłem i chciałem wejść. Wtedy ona zastąpiła mi drogę, mówiąc: – Daj spokój, co ci do tego. Przyjdź później. – Tym razem zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Uderzyłem ją w twarz-i ryknąłem: – Ach, tak! Co mi do tego! – Odepchnąłem ją i pobiegłem do kuchni.

A niechby ziemia pochłonęła baby i babskie plotki! Tak, był tam Mario, siedział przy stole popijając kawę z mlekiem; ale nie był to Mario stolarz ani Mario sprzedawca owoców, ani Mario syn rzeźnika, ani żaden z tych Mariów, o których myślałem na ulicy. Był to po prostu Mario brat Filomeny, który przesiedział dwa lata w więzieniu za kradzież z włamaniem. Ja, wiedząc o tym, że przyjdzie dzień, kiedy zostanie zwolniony, zapowiedziałem Filomenie, że nie chcę go widzieć

u siebie w domu, co więcej, nie chcę o nim nawet słyszeć. Ale ona, biedaczka, była serdecznie przywiązana do brata, pomimo to, że był złodziejem, i chciała przyjąć go u siebie w czasie mojej nieobecności. Mario, widząc moją furię, wstał. Powiedziałem zdyszany: – Dzień dobry, Mario.

– Idę już, idę – odrzekł niepewnie. – Nie bój się, zaraz sobie pójdę... ale co się dzieje?... Przecież nie jestem trędowaty.

Z korytarza dobiegał płacz Filomeny, i wstyd mi było tego, Co zrobiłem. Powiedziałem zmieszany: – Nie, zostań, zjesz z nami obiad, prawda, Filomeno? – dodałem zwracając się do Filomeny, która pokazała się w drzwiach, ocierając łzy – prawda, że Mario może zostać na obiedzie?

Jednym" słowem, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby naprawić, com nabroił, a potem poszedłem z Filomeną do sypialni, pocałowałem ją i ppgodziliśmy "się. Ale sprawa plotek dalej była nie zakończona. Po krótkim wahaniu powiedziałem do Maria: – Chodź, Mario, pójdiesz ze mną do sklepu; być może szef znajdzie dla ciebie jakąś pracę. – Wyszedł ze mną; kiedy znaleźliśmy się na schodach, dodałem: – Nikt cię tutaj nie zna... przez ostatnie lata pracowałeś w Mediolanie, zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

Zeszliśmy na dół. Kiedy przechodziliśmy koło okienka dozorczyńni, wziąłem Maria pod rękę i przedstawiłem go mówiąc: – To jest Mario,

mój szwagier, przyjechał z Mediolanu... teraz zamieszkać nami.

– Bardzo mi przyjemnie...

“Cała przyjemność po mojej stronie” – pomyślałem wychodząc na ulicę. Przez babskie plotki straciłem tysiąc lirów. A teraz jeszcze, na dodatek, wziąłem sobie do domu złodziejaska.

Przełożyła Zofia Ernstowa

Przyjaciele nie mają pieniędzy
CGI. a mi ci senza sold!)

Tyle się mówi o przyjaźni, ale co to właściwie znaczy być czyimś przyjacielem? Czy wystarczy na przykład – jak to robiłem ja – spotykać się przez pięć lat z rzędu w barze na Piazza Mon- ti stale z tą samą paczką młodych ludzi, grywać w karty zawsze z tymi samymi partnerami, dyskutować na temat piłki nożnej wciąż z tymi samymi kibicami sportowymi, chodzić z nimi na stadion, na wycieczki, nad rzekę, jadać i pić w tej samej gospodzie? Czy też od dziś dnia należałoby jeszcze sypiać w tym samym łóżku, używać tej samej łyżki do jedzenia, wycierać nos w jedną chustkę? Im dłużej zastanawiam się nad zagadnieniem przyjaźni, tym bardziej mąci mi się w głowie. Przechodzi długie lata żyjemy w przekonaniu, że jesteśmy z takimi a takimi ludźmi w najbliższych stosunkach, że nie możemy obejść się bez siebie, że kochamy się jak bracia. Aż tu nagle dowiadujemy się, że tamci potrafili zawsze utrzymać należyty dystans, że dopuszczali się ostrej krytyki i mieli nas po prostu za nic; jednym słowem, nie tylko nie żywili do nas uczucia

przyjaźni, ale nawet zwykłej sympatii. Ale wobec tego nasuwa mi się pytanie: czyżby przyjaźń była tylko przyzwyczajeniem, jak picie kawy i kupowanie gazet? Wygoda, jak fotel czy łóżko, albo rozrywka, jak teatr czy kino? Ale jeżeli tak jest naprawdę, to dlaczego ludzie nazywają to przyjaźnią, a nie jakoś inaczej?

Ale o tym dość; jestem człowiekiem z sercem na dłoni, jednym z tych, którzy nie wierzą w istnienie zła. Tej zimy przeszedłem zapalenie płuc; lekarz zalecił mi miesięczny pobyt nad morzem, a ponieważ nie miałem na to pieniędzy, bo skromne oszczędności rozeszły się na lekarstwa i kurację, powiedziałem matce, że owe trzydzieści tysięcy lirów, których potrzebuję, pożyczę od przyjaciół z baru na Piazza Monti. Matka nie jest taka jak ja; o ile ja jestem entuzjastą, człowiekiem pełnym ufności, raczej lekkomyślnym, o tyle ona jest sceptyczna, zgorzkniała i przezorna. Tak więc tego dnia odpowiedziała mi, nie odwracając się od kuchni: – Od jakich przyjaciół? Przecież podczas choroby nie odwiedził cię nawet pies z kulawą nogą. – To zdanie zaniepokoiło mnie nieco, bo tak było w istocie, ale opanowałem się i oświadczyłem, że są to wszystko ludzie ogromnie zajęci. Matka potrząsnęła głową, ale nic nie odpowiedziała. Był wieczór, o tej porze wszyscy zazwyczaj spotykali się w barze. Ubrałem się bardzo ciepło, bo po raz pierwszy wychodziłem na dwór, i poszedłem do tego baru.

Po drodze nogi uginały się pode mną z osłabie

nia, ale pomimo to bezwiednie uśmiechałem się co chwila i czułem, że ten uśmiech rozjaśnia jak promień słońca moją twarz, bladą i wychudzoną po przebytej chorobie. Uśmiechałem się, z góry wyobrażając, sobie całą scenę: ja stoję na progu, oni przez chwilę patrzą na mnie w milczeniu, por . tem wstają wszyscy, otaczają mnie zwartym kołem, ktoś klepie mnie po ramieniu, ktoś inny zapytuje o zdrowie, ktoś inny jeszcze opowiada o tym, co zaszło w czasie mojej nieobecności. Po owym uśmiechu poznałem, jak szczerze przywiązany byłem do moich przyjaciół, i na myśl o spotkaniu z nimi drżałem tak, jak to bywa w chwili, gdy po dłuższym niewidzeniu ma się zobaczyć ukochaną kobietę. Przepęłniało mnie uczucie przyjaźni, i jak to często bywa, wydawało mi się, że inni także muszą podzielać moje uczucia.

Kiedy wszedłem do baru, zobaczyłem, że nie ma tam nikogo. Šaverio zajęty był czyszczeniem baru i ekspresu, a Mario, właściciel lokalu, czytał gazetę siedząc przy kasie. Otwarte radio grało przebój taneczny. Z Mariem, roslým, tęgim chłopakiem o małej głowie i kobiecych oczach, zamglonych i łagodnych, żyliśmy, można powiedzieć, jak dwaj bracia. Wyróśliśmy na tej samej - ulicy, razem chodziliśmy do szkoły, razem zostaliśmy powołani pod broń. Szczęśliwy .wzruszony, podszedłem do niego – czytał gazetę – trochę z osłabienia, a trochę z radości prawie że zabrakło mi głosu i powiedziałem szeptem: – Mario!

– Och, Gigi! – odrzekł najnormalniejszym li świecie głosem, podnosząc oczy znad gazety –i jeszcze nie umarł, ten na pewno się zjawi. Co ci było?

– Miałem zapalenie płuc, porządnie się prze- chorowałem. Musiałem brać penicylinę... trudno powiedzieć, co przeszedłem.

– Doprawdy? – rzekł składając gazetę. – Widać to po tobie, przymizierniałeś. Ale teraz jesteś już zupełnie zdrow?

– No tak, można powiedzieć, że jestem zdrow, ale ledwie trzymam się na nogach. Lekarz twierdzi, że co najmniej na miesiąc powinienem wyjechać nad morze.

– I ma słuszność... to niebezpieczna choroba.- napijesz się kawy?

– Dziękuję, a co z naszymi przyjaciółmi?

– Saverio, jedną mocną kawę dla Gigiego.- wszyscy wyszli przed chwilą, poszli do kina.

I znowu rozłożył gazetę, jakby zamierzał czytać dalej. Powiedziałem: – Mario!

– Co takiego?

– Mam do ciebie prośbę. Na to, żebyś mógł spędzić miesiąc nad morzem, potrzeba pieniędzy, a ja ich nie mam. Czy mógłbyś pożyczyć mi dziesięć tysięcy lirów? Gdy tylko wezmę się do pracy, oddam ci zaraz te pieniądze, i

On patrzył na mnie przez dłuższą chwilę tymi czarnymi, zamglonymi oczyma, po czym powiedział: – Zobaczymy – i otworzył szufladę kasy. – Popatrz – rzekł pokazując pustą szufladę

– nie mam, właśnie miałem wypłaty. Bardzo żałuję. '•' j.'*.^I^Hi

– Jak to nie masz? – odpowiedziałem zdumiony. – Dziesięć tysięcy to przecież niedużo, .

– To nawet bardzo mało – odrzekł na to – ale trzeba je mieć. – I nagle, jakby natchniony jakąś myślą, podniósł oczy na ladę i zawołał: – Saverio, czy nie masz dziesięciu tysięcy lirów, żeby pożyczyć Gigiemu? – Barman, chłop biedny jak mysz kościelna i obarczony liczną rodziną, odpowiedział, rzecz jasna: – Panie Mario! Ja, dziesięć tysięcy lirów?! – Wówczas Mario zwrócił się do mnie: – Wiesz, kto będzie ci mógł pożyczyć? Egisto, jego sklep przynosi ładne dochody. On ci na pewno pożyczy. – Nic nie odpowiedziałem, podejście Maria po prostu mnie zmroziło. Ale żeby zachować pozory, wypilem kawę i sam chciałem za nią zapłacić. On połapał się, o co chodzi, i rzekł: – Bardzo mi przykro. – Drobiazg, nie ma o czym mówić – odpowiedziałem i wyszedłem.

Egisto był drugim z grona tych serdecznych przyjaciół, których widywałem codziennie. Następnego ranka wcześniej wyszedłem z domu i poszedłem do Egista. Jego sklep z używanymi meblami znajdował się na Piazza Navona, przy ulicy di Parione. Kiedy dochodziłem do sklepu, zobaczyłem go przez oszklone drzwi: stał we wnęce koło komody między stertami krzesel i stołków, w płaszczu z postawionym kołnierzem, z rękami w kieszeniach. Egisto miał pospolitą

powierzchność, nie wysoki i nie niski, ani gruby, ani chudy, o twarzy zblazowanej, przebieglej. Zawsze to jedno, to drugie oko miał zaczerwienione i przymknięte, z powodu stale odnawiających się jęczmieni, i nieustannie obgryzał paznokcie aż do krwi. Pomimo że zapał mój ostygł już nieco, gdy zawołałem: – Egisto! – w głosie moim zadźwięczała jeszcze radosna nuta. On odpowiedział chłodno: – Jak się masz, Gigi! – ale nie przywiązywałem wagi do jego tonu, bo wiedziałem, że nie jest wylewny z natury. Wszedłem i powiedziałem bez ogródek: – Egisto, przyszedłem, by prosić cię o przysługę. – A on odrzekł: – Zamknij na razie drzwi, bo jest zimno. – Zamknąłem drzwi i raz jeszcze powtórzyłem to samo. On podszedł do biurka, które stało w głębi sklepu, i usiadł na krześle, mówiąc: – Podobno chorowałeś, opowiedz, co ci było. – Powiedział to takim tonem, że zrozumiałem od razu, iż chce mówić o chorobie dlatego, bym nie ponowił mojej prośby. Uciałem krótko, odpowiadając sucho: –•
Miałem zapalenie płuc.

– Dobra? I mówisz to tak w dwóch słowach? Powiedz coś więcej.

– Nie o tym chciałem z tobą mówić – odrzekłem – mam do ciebie prośbę...
potrzeba mi na gwałt piętnastu tysięcy lirów, pożycz mi, za miesiąc ci oddam.

On zaczął natychmiast obgryzać paznokieć kciuka, po czym zabrał się do środkowego palca. Podwyższyłem kwotę, ponieważ Mario odpadł

pozostały mi wobec tego jeszcze tylko dwie osoby, od których mogłem zaciągnąć pożyczkę. Na koniec powiedział nie patrząc na mnie: – Nie mogę ci pożyczyć piętnastu tysięcy, ale mogę ci wskazać sposób, w jaki lekko zarobisz od pięciuset do tysiąca lirów dziennie.

Spojrzałem na niego, muszę się do tego przyznać, prawie z nadzieją: – Jak?

Otworzył szufladę, wyciągnął z niej wycinek gazety i podał mi go mówiąc: – Przeczytaj. – Wziąłem i przeczytałem: “Pięćset do tysiąca lirów dziennie zarobicie lekko w domu wyrabiając artystyczne drobnostki, pamiątki Roku Świętego. Wysłać pięćset lirów do skrzynki pocztowej” itd., itd. Przez chwilę stałem z otwartymi ustami. Trzeba wiedzieć, że znałem już to ogłoszenie: jacyś kanciarze z prowincji wykorzystywali naiwność ludzką. Wysyłało się pięćset lirów, a • W zamian otrzymywało się papierowy szablon z dziurkami, do przerysowywania tuszem na pocztówkach. Przedstawiał on kontury bazyliki Sw. Piotra. Potem należało te pocztówki rozprzedać,] co zdaniem owych kombinatorów nie będzie przedstawiało najmniejszych trudności, jako że spodziewana jest ogromna ilość pielgrzymek i dziennie sprzedaje się lekko po pięćdziesiąt do stu pocztówek w cenie po pięćdziesiąt lirów za sztukę. Oddałem Egistowi wycinek, mówiąc: – Miałem cię za przyjaciela.

Obgryzał teraz paznokcie czwartego palca. Odpowiedział nie podnosząc oczu; – I jestem nim.

–Do widzenia, Egisto.

–Do widzenia, Gigi:

Z ulicy di Parione poszedłem do autobusu na corso Vittorio i pojechałem na ulicę ęlei Quattro Santi Coronati. Mieszkał tam trzeci mój przyjaciel, na którego liczyłem, że mi pożyczy, Attilio. Był to trzeci i ostatni, bowiem inni koledzy z naszej paczki byli biedni i gdyby nawet chcieli, nie mogliby pożyczyć mi ani grosza. Jak widzicie, moje rachuby wydawały się słuszne: Mario był właścicielem dobrze prosperującego baru, Egisto miał duże obroty w sklepie z używanymi meblami, a Attilio, właściciel garażu, wynajmował auta i przeprowadzał remonty. Z nim także żyliśmy jak bracia, trzymałem nawet do chrztu jego córkę. Zostałem go leżącego na chodniku, pod samochodem, twarzy i tułowia nie było widać, na zewnątrz wystawały mu tylko nogi. Zawołałem: – Attilio! – ale tym razem głos mój nie zadrżał ze wzruszenia. On dłużył coś jeszcze przez chwilę, po czym zaczął powoli wysuwać się spod samochodu, rękawem od kombinezonu wycierając twarz ubrudzoną smarem. Był to mężczyzna silnej budowy, o twarzy - śniadej, małych oczach i niskim czole; nad prawą brwią miał bliznę. Powiedział od razu: – Słuchaj, Gigi, jeżeli przyszedłeś po samochód, to nic z tego... wszystkie są na mieście, a półciężarówka w remoncie.

Odpowiedziałem: – Nie idzie o samochód..* przyszedłem prosić cię, żebyś pożyczył mi dwa-- dziesięć pięć tysięcy lirów. .

Popatrzył na mnie marszcząc brwi i powiedział po chwili: – Dwadzieścia pięć tysięcy lirów... zaraz ci dam... poczekaj – a ja nie mogłem ochłonąć ze zdumienia, bo prawdę mówiąc, nie miałem już żadnej nadziei. Poszedł powoli w głąb garażu, gdzie wisiała na gwoździu jego marynarka, wyciągnął z kieszeni portfel, wrócił do mnie i zapytał: – Czy wolisz w banknotach po tysiąc czy po pięć tysięcy lirów?

– Jak ci wygodniej, to nie ma znaczenia. Wpatrywał się we mnie i nie mogłem zrozumieć, dlaczego na jego twarzy maluje się jakby groźba. Nalegał: – A może chciałbyś część w stulirówkach?

– Dziękuję ci, lepiej w tysiącach..

– Ale może – powiedział nagle, jakby nasunęło mu się jakieś podejrzenie – potrzebujesz trzydziestu tysięcy... jeśli ci potrzeba, powiedz szczerze... nie krępuj się.

– No wiesz, żeś zgadł... niech będzie trzydzieści tysięcy... właśnie ta suma jest mi potrzebna.

– Wyciągnij rękę.

Wysunąłem rękę. Wówczas on cofnął się o krok i powiedział drwiącym tonem: – No co, przyznaj się, że uwierzyłeś, ty naiwniaczku, że nie mam co robić z pieniędzmi, zarobionymi w pocie czoła, i będę wyrzucał je na takiego nieroba jak ty?! Uwierzyłeś, co? Ale grubo się pomyliłeś!

– Ale ja...

– Ale ty jesteś skończonym głupcem... nie dam

ci nawet stu lirów... weź się do roboty, poszukaj sobie jakiejś pracy zamiast przesiadywać po kawiarniach!

– Mogłeś od razu tak powiedzieć – zacząłem mówić rozwścieczony – nie postępuje się w ten sposób... |

– A teraz wynoś się – przerwał mi – wynoś się natychmiast... już cię tu nie ma!

Nie mogłem się powstrzymać i zawołałem: – Ścierwo! ■ ;

– Coś ty powiedział?! – krzyknął chwytając żelazne dłuto. –i Powtórz tylko!

Jednym słowem, musiałem uciec, bo byłby mnie uderzył. Gdy wróciłem tego ranka do domu, miałem uczucie, że się postarzałem o dziesięć lat. Matce, która z kuchni rzuciła mi pytanie: – No i co, pożyczili ci pieniądze twoi przyjaciele? – odpowiedziałem: –.Nie zastałem żadnego z nich. – Ale przy stole widząc moje przygnębienie matka powiedziała: – No, powiedz mi prawdę... nie chcieli ci pożyczyć..., na szczęście masz jeszcze matkę... oto pieniądze – i wyjęła z kieszeni trzy banknoty po dziesięć tysięcy. Zapytałem, skąd je wzięła, a ona odpowiedziała mi, że przyjacielem biedaków jest lombard, co rozumieć należy tak, że zastawiła kilka przedmiotów, żeby zdobyć dla mnie pieniądze. Istotnie, oddała pod zastaw swoją biżuterię i do dziś dnia nie może jeszcze jej wykupić. Tak czy owak, spędziłem miesiąc w Santa Marinella. Rano, w słońcu, jeździłem łodzią i cza-

Przełożyła Zofia Ernstowa

sami, pochylając się nad wodą i obserwując pływające ryby, duże i małe, zadawałem sobie pytanie, czy przynajmniej między rybami istnieje przyjaźń. Między • ludźmi – nie, chociaż oni to słowo wymyślili.

Posfrach Rzymu
(Il terrore di Roma)

Tak bardzo pragnąłem, nowej pary butów, że często śniły mi się tego lata, w suterenie,, w której dozorca kamienicy wynajmował mi pryczę za sto lirów noc. Nie dlatego, bym chodził zupełnie bosy, ale buty, które nosiłem, podarowali mi Amerykanie; były to lekkie półbuciki i właściwie nie miały już obcasów. Jeden przetarł mi się na małym palcu, a drugi człapał i spadał mi z nogi jak kapeć. Sprzedając to i owo na czarnym rynku, nosząc paczki i wykonując różne polecenia, z ledwością unikałem głodowania, a pieniędzy na buty – zawsze kilka tysięcy lirów – nie sposób było zaoszczędzić. Te buty stały się moją obsesją, czarną plamą,, która szła za mną w przestrzeni, dokądkolwiek bym się udał. Zdawało mi się, że bez nowych butów nie potrafię żyć dłużej, a czasami z rozpaczy, że jestem bez butów, chciałem się już nawet zabić. Idąc ulicą wciąż tylko patrzyłem na nogi przechodniów lub też zatrzymywałem się przed wystawami szewców i stałem tak, olśniony, podziwiając buty, porównując ceny, kształt, kolor i wybierając w duchu jedną parę, która by się

dla mnie nadawała. W suterenie, gdzie spałem, poznałem niejakiego Lorusso, który tak jak ja był wysiedleńcem; był to młody chłopak, kędzierzawy blondyn, krępy i niższy ode mnie; i spostrzegłem, że mu zazdrościłem, on bowiem,, nie wiem w jaki sposób, potrafił zdobyć sobie parę naprawdę ślicznych butów z cholewkami, sznurowanych, z grubej skóry, z blaszkami i podwójną podeszwą, takich, jakie nosili oficerowie alian- | cy. Buty te były za duże dla Lorusso i rzeczywiście co rano wkładał do nich gazety, żeby mu nie pospadały z nóg. Natomiast na mnie, który jestem od niego wyższy, pasowały jak ulał. Wiedziałem, że i Lorusso ma swoje marzenie: chciał sobie kupić piszczałkę, potrafił na niej grać, ponieważ przed przyjazdem do Rzymu był razem z pasterzami w górach. Twierdził, że taki, jaki jest – mały blondyn, z niebieskimi oczami, w wiatrówce i ze spodniami alianckimi wpuszczonymi w alianckie buty, i z piszczałką przy ustach – podejmuje się krążyć po restauracjach i zarabiać dużo pieniędzy grając właśnie na piszczałce jakieś pasterskie piosenki i jeszcze jakieś inne, których nauczył się będąc gościem u Amerykanów. Ale pisz-* czałka była droga, tak droga jak i>uty, a może i droższa, i Lorusso, fetory tak jak ja zajmował się po trosze wszystkim^ pieniędzy na zakupienie jej nigdy nie miał. Tak jak ja o butach, tak i on często myślał o piszczałce; i nie umawiając się ustaliliśmy: najpierw ja jemu opowiadałem o butach, a potem on mnie o piszczałce. Ale to były

wciąż tylko słowa, a butów ani piszczałki nie udawało jjam się zdobyć.

Wreszcie, za obojną zgodą, powzięliśmy pewną decyzję, naprawdę to ja pierwszy o tym pomyślałem, ale Lorusso natychmiast ją zaaprobo- I wał, jak gdyby nigdy w swoim życiu o niczym innym nie myślał. Mieliśmy się udać w jakieś 1 odosobnione miejsce, uczęszczane przez zakochanych, na przykład do parku Borghese, i tam przyłapać jedną z tych par, które umykają przed ludźmi, by lepiej móc się pieścić i obcałowywać. Odkryłem wtedy ze zdziwieniem, że Lorusso jest krwiożerczy, w co nigdy bym nie uwierzył, zważywszy jego wygląd niewinnego pasterzyka. Zaraz zaczął mówić, że on czuje się na siłach zakatrupić i tę kobietę, i tego mężczyznę; i powtarzał to słowo "zakatrupić", które usłyszał lichy wie gdzie, z ogromnym entuzjazmem, jak gdyby widział już chwilę, w której ich naprawdę zakatrupi. W 'pewnej chwili rzucił się na mnie, żeby pokazać niby, w jaki sposób to załatwi, złapał mnie za i szyję i udawał, że wali mnie po głowie swoim jfl francuskim keczem z lanego żelaza. – Tak bym mu dał..^ą potem tak... a potem tak... aż bym ich oboje zakatrupił. – Ja tymczasem jestem strasznie nerwowy, bo w czasie wojny, po bombardowaniu, przez dzień i noc leżałem zasypany w piwnicy mojego domu na wsi i od tego czasu cała twarz skacze mi w nerwowym tiku co chwila, a byle głupstwo wystarczy, bym stracił głowę. Toteż jednym pchnięciem posłałem Lorusso pod

ścianę sutereny i powiedziałem mu: – Trzymaj ręce przy sobie, jeżeli mnie dotkniesz jeszcze raz, słowo honoru, wezmę ten klucz i zakatrupię cię naprawdę. – Po czym opanowałem się i dodałem: – Widzisz, jaki jesteś tuman?... Nic nie rozumiesz, byku jeden... Nie wiesz, że pary, które kochają się na świeżym powietrzu, kryją się ze swoją miłością, inaczej robiliby to u siebie w domu... Jeżeli więc zabierzesz im pieniądze, nie za-denuncjują cię, bo będą się bali, że mama albo mąż dowiedzą się, co robili... Jeśli ich jednak zakatrupisz, gazety o tym napiszą, wszyscy się o tym dowiedzą i w końcu komisariat cię złapie... Można za to udawać dwóch agentów w cywilu: "Ręce do góry! Całowaliście się, nie wiecie, że to zabronione? Mandat!" I pod pretekstem mandatu zabieramy im pieniądze i idziemy sobie. – Lorusso, który jest kompletnym głupcem, patrzył na mnie z rozdziawioną gębą tymi swoimi niebieskimi oczami jakby z porcelany, spod wyrastających mu już ze środka czoła włosów. – Tak, ale umarli odpoczywają, a żywy me zazna odpoczynku – Lorusso wiedział wreszcie. Ale wyrzekł to tak bez żartu, Jak wtedy, gdy mówił "zakatrupię ich", niczym papuga, i kto wie, gdzie usłyszał ten aforyzm. – Nie wygłupiaj się – odparłem – rób to, co ci mówię, i nie odzywaj się. – Tym razem już się nie sprzeciwił i zgodził się na taki plan;..S W ustalonym dniu, wieczorem, poszliśmy do parku Borghese. Lorusso schował klucz francuski do wiatrówki, a ja miałem w płaszczu niemiecki pistolet,

który dali mi do sprzedania, ale na który nie znalazłem jeszcze nabywcy. Na wszelki wypadek wyjąłem z niego naboje, myślałem bowiem, że albo uderzenie się uda od razu, albo – jeśli bym miał strzelać – lepiej w ogóle zrezygnować. Szliśmy aleją wzdłuż hipodromu i na każdej ławce siedziała jakaś parka, tylko że pełno było zapalonych latarni i dużo przechodniów, jak na ulicach. Z tej alei weszliśmy na drugą, prowadzącą do Pincio, gdzie jest jedno z najciemniejszych miejsc parku Borghese, a pary wolą je także dlatego, że bliżej stąd do piazza del Popolo. Na Pincio było rzeczywiście ciemno, trochę od cienia licznych drzew, trochę dlatego, że było niewiele latarni, a parok na ławkach tyle, że nie zliczyłbyś... Na niektórych, ławkach było i po dwie, a każda robiła, co jej było wygodnie, całując się i obejmując, nie wstydząc się, że tamci mogą zobaczyć, bo i tak robili to samo. Teraz Lorusso stracił ochotę do katru- pienia ludzi, bo taki już był, łatwo zmieniał nastroje. Widząc te wszystkie całujące się pary, zaczął wzdychać z oczami błyszczącymi i twarzą pełną zawiści, po czym odezwał się: – Ja też jestem młody i kiedy patrzę na tych wszystkich zakochanych, jak się całują – mówię ci – gdybym ⁿⁱ® był w Rzymie, tylko na wsi, wystraszyłbym mężczyznę, a dziewczynie bym powiedział: "Chodź, ślicznotko, chodź, cudna, nie zrobię ci krzywdy, chodź, ślicznotko, do twojego Tomaszka". – Szedł środkiem alei, z dala "ode mnie, i oglądał się na pary, aż się niedobrze robiło, i oblizywał sobie

- wargi grubym czerwonym językiem, niczym byk, i chciał koniecznie, bym ja też przyglądał się parom i patrzył, jak mężczyźni kładli ręce pod spódnicę kobiet i jak kobiety przyciskały się do mężczyzn i pozwalały im kłaść ręce pod spódnicę. Od- powiedziałem mu: – Ach, ty kretynie, chcesz czy nie chcesz tej piszczałki? – Odwracając się i patrząc na jedną z ławek odrzekł: – Teraz, prawdę powiedziawszy, chciałbym dziewczynę... byle jaką, , na przykład tę. –■ W takim razie – powiedziałem ■ –: nie powinieneś być brać klucza francuskiego 3 i iść ze mną. – Ano, właściwie myślę, że lepiej bym zrobił. – Mówił tak, bo był lekkomyślny i o chwila zmieniał zapatrywania. Zobaczył krę- ; cąc się po Pincio gołe nogi kobiecie, jakiś pocałunek> uściski, i to mu wystarczało, by umierać ! z ochoty do miłości... Ja natomiast nie rozpraszam J się łatwo i jeżeli pragnę jakiejś rzeczy, to ta ma i być, a nie inna. Chciałem mieć buty i byłem zdecydowany mieć je jeszcze tego samego wieczora,! ' za wszelką cenę.

Kręciliśmy się tak po Pincio, od alei do alei, od j ławki do ławki, wzdłuż tych wszystkich marmuro- l wych popiersi ustawionych w szeregu w cieniu drzew. Wciąż nie znajdowaliśmy nadającego się*, - . miejsca, obawialiśmy się bowiem, że inne pary, « zbyt bliskie, mogły nas zauważyć; i Lorusso, jak? to on, znowu zaczynał się rozpraszać. Teraz nieji myślał już o miłości, lecz – nie wiem dlaczego – M o marmurowych popiersiach. – A kto jest na tych' ' wszystkich posągach? – zapytał nagle. – Wolno i

wiedzieć, kto to właściwie jest? – Widzisz, jaki . jesteś ciemny – odparłem – to wszystko wielcy ludzie, ponieważ są wielkimi ludźmi, zrobili im posągi i tu je ustawili.— Zbliżył się do jednego z posągów, popatrzył i powiedział: – Toć to jest kobieta. Widocznie była wielka. – Nie wydawał się przekonany i wreszcie zapytał: – To gdybym ja był też wielkim człowiekiem, zrobiliby mi posąg? – Oczywiście, tylko że ty wielkim człowiekiem nigdy nie będziesz. – A kto ci to powiedział?... Gdybym na przykład został postrachem Rzymu... zakatrupię^ masę ludzi... gazety o mnie piszą... nikt mnie nie może znaleźć... wtedy i mnie zrobiliby posąg. – Zacząłem się śmiać, choć nie miałem żadnej po temu ochoty, bo wiedziałem, gdzie mu przyszła myśl zostania postrachem Rzymu: przed kilkoma dniami byliśmy na filmie, który nazywał się właśnie "Postrach Chicago". Odparłem więc: – Człowiek nie staje się wielki przez zabijanie ludzi... Jaki jesteś głupi... To są wielcy ludzie, którzy nie zabili nikogo. – A co robili? — Pisali książki, na przykład. – Na te słowa zmarkotniał, bo był prawie analfabetą, i wreszcie odezwał się: – Ale chciałbym mieć posąg— naprawdę bym chciał... W ten sposób ludzie by o mnie pamiętali. – Bałwan jesteś – powiedziałem – i wstyd mi za ciebie, ale i tak nie mam ci co tłumaczyć, szkoda zachodu.

Pokręciliśmy się jeszcze trochę i wreszcie wyszliśmy na terasę Pincio. Stało kilka samochodów, ludzie z nich powychodzili i patrzyli na panoramę

Rzymu. I my wyjrzelismy: widać było cały Rzym, podobny do czarnego, spalonego ciasta rozświetlonego wieloma pęknięciami, a każde pęknięcie to ulica. Nie było księżycy, ale było jasno i pokazałem Lorusowi sylwetkę kopuły Świętego Piotra, czarną na tle ugwieżdżonego nieba. – Pomyśl – rzekł – gdybym był postrachem Rzymu... ci wszyscy ludzie w tych wszystkich domach myśle-^ liby tylko o mnie, zajmowałiby się tylko mną, a ja – tu uczynił ręką gest, jakby groził Rzymo-^ wi – co noc bym wychodził, zakatrupiłbym ko-^ goś i nikt by mnie nie mógł znaleźć. – Odparłem mu: – Bałwan z ciebie i nie powinieneś nigdy- chodzić do kina... W Ameryce gangsterzy mają karabiny maszynowe, samochody i są zorganizowani, to są ludzie, którzy działają naprawdę... A ty co? Owczarz, serojad z francuskim kluczem w wia-J trówce. – Zamilkł urażony, a potem odezwał si® w końcu: – Ładna panorama, nie ma co, ładna... Ale co tu dużo gadać, dziś ni.c z tego nie wyjdzie^ idziemy spać. – Co chcesz przez to powiedzieć® – zapytałem. – Chcę powiedzieć, że odeszła ciii ochota i masz stracha. – Zawsze tak robił: roz-i! praszał się, myślał o czym innym, potem zrzucał winę na mnie, oskarżając mnie o tchórzostwo. —i Chodź, głupcze – odrzekłem – zaraz ci pókażę, czy mam stracha.

Poszliśmy bardzo ciemną aleją wzdłuż parapetffl odgradzającego ulicę Muro Torto. I tu były ławki i pełno parków, ale z takiej czy innej przyczyn^ rozumiałem, że nic się nie da zrobić, i dawałem

[Lorusowi znak, by szedł dalej. W pewnej chwili spostrzegliśmy dwoje ludzi w miejscu zupełnie 'odosobnionym i ciemnym; już prawie się zdecydowałem, kiedy w tej samej chwili przejechali |konno dwaj policjanci i parka^ obawiając się, że głamci ją zobaczą, odeszła. Idąc w ten sposób iwzdłuż parapetu, doszliśmy do tej części Pineio, która wychodzi na wiadukt nad ulicą Muro Tor- to, Jest tam pawilon otoczony żywopłotem z wawrzynu, wzmocnionym drutem kolczastym. Ale z boku znajduje się drewniana furka, która jest zawsze otwarta. Znałem ten pawilon, sypiałem w nim bowiem nieraz, kiedy nie miałem nawet na zapłacenie pryczy u dozorczy. Jest to rodzaj cieplarni z szybami wychodzącymi na wiadukt,, a wewnątrz przechowywane są narzędzia ogrodnicze, doniczki z kwiatami i liczne marmurowe popiersia do zreperowania, dzieciaki bowiem po- ob tłuki wały im nosy lub głowy. Zbliżyliśmy się do parapetu, Lorusso usiadł na nim i zapalił papierosa. Siedział; utrzymując równowagę na parapecie, i. palił z zuchwałą miną. Ogarnęła mnie | wówczas taka niechęć do niego, że poważnie pomyślałem, by pchnąć go i rzucić w dół na drugą /stronę. Przeleciałby pięćdziesiąt metrów i rozbiłaby się jak jajko na chodniku Muro Torto, a ja pobiegłbym wtedy na dół i zabrałbym mu te jego ^śliczne buty, które mnie tak nęciły. Rozzłościłem się tą myślą, bo spostrzegłem, że moja nienawiść do Lorusa była tylko pozorem,* a prawdziwą przyczyną, dla której miałem ochotę go zabić, by-

ły buty, i Lorusso czy kto inny, aby tylko miał buty! – wszystko mi było jedno. Ale byłbym go; może naprawdę zrzucił, bo zmęczyłem się tym łożeniem, a on zanadto mnie denerwował, gdyby na. szczęście nie minęły nas nagle dwa czarne, sple-| cione cienie, prawie się o nas ocierając: jakaś para. Przeszli tuż przede mną, on niższy od niej,| lecz w ciemności nie mogłem rozróżnić twarzy. | Przy furtce wydało mi się, że kobieta się opiera, \$ i usłyszałem, jak on szeptał: Wejdźmy tutaj. – . Ona odpowiedziała: – Ale tu ciemno. – A on: –<3 Co ci to przeszkadza? – Ustąpiła w końcu, otworzyli furtkę, weszli i zniknęli za ogrodzeniem.

Odwróciłem się wtedy do Lorusso i powiedziałem mu: – Oto co. nam potrzebne... Poszli do cieplarni żeby mi pieć spokój... Teraz my się przedstawimy jako agenci w cywilu... Udamy, że spisu-® jemy mandat, i zabierzemy im pieniądze. – Lo-a russo odrzucił papierosa, zeskoczył z parapetu! i powiedział: – Tak, ale dziewczyna dla mnie. –1 Zdumiałem się i zapytałem: O czym mówisz?® — On powtórzył: –Dziewczyna dla mnie... rozumiesz^?... No, chcę ją sobie tego... –7 Zrozu-1 miałem wtedy i rzekłem: – Czyś zgłupiał? Agen-ł ci w cywilu nie dotykają kobiet. – A on na to: –« A mnie ęo to obchodzi? – Miał dziwny głos, jak by zdławiony, i mimo że nie widziałem jego twa-H rzy, z głosu zrozumiałem, że mówił po ważnie Odpowiedziałem zdecydowanie: – W takim razi® nic nie zrobimy. – Ale dlaczego? — Dlatego że nie... Ze mną nie ma żadnego dobierania się d<j

kobiet. – A jeżeli ja chcę? – Dałbym ci w mordę, jak Boga kocham. – Staliśmy tak koło parapetu, nos w nos, kłócąc się. – Tchórz jesteś! gg• powiedział. A ja lakonicznie: – A ty kretyn. — Wtedy on podniecony tym požądaniem, którego nie pozwalałem mu wyładować, nagle oświadczył: – Dobrze, nie ruszę dziewczyny, ale faceta zakatrupię. – Ale dlaczego, głupcze jeden, dlaczego? – Tak sobie, albo dziewczyna, albo facet. — Czas mijał, ja denerwowałem-się, taka okazja nieprędko mogłaby bowiem wrócić, i w końcu powiedziałem: – W porządku... jeśli to konieczne... ale w takim razie zakatrupisz go tylko wtedy, kiedy ja ci dam znak ręką, o tak – i przeciągnąłem dłonią po czole. – Kto wie dlaczego, może dlatego że był naprawdę głupi, Lorusso od razu przytaknął i powiedział, że się zgadza. Kazałem mu- powtórzyć przyrzeczenie, że się nie ruszy, jeśli mu nie dam znaku, po czym pchnęliśmy furtkę i z kolei my weszliśmy za ogrodzenie. Z jednej strony pod ogrodzeniem stał ten mały tram- waik, który za dnia, ciągniony przez osiołka, wozi dzieci na spacer po alejach Pincio. W rogu, mię* dzy parapetem a furtką, znajdowała się latarnia, która rozsiewała swoje światło »poprzez ogrodzenie i szyby aż do środka cieplarni. Widać było wewnątrz doniczki poustawiane według wielkości, a za doniczkami cały szereg marmurowych popiersi, poukładanych na ziemi, śmiesznie wyglądających, tak białych i nieruchomych, niczym ludzie, którzy wyłonili się tylko do pasa. Zrazu nie mo

głem dostrzec owej pary, później domyśliłem się, że są dalej w głębi cieplarni, poza kręgiem światła. Kąt był ciemny, ale dziewczyna znajdowała się częściowo w promieniu latarni i -domyśliłem się, że to ona, po białej ręce, którą w czasie pocałunku zwiesiła nieruchomo na tle ciemnej sukni. Pchnąłem wtedy drzwi i odezwałem się: – Kto tu jest?... Co tam robicie? – Mężczyzna wysunął się bez wahania naprzód, podczas gdy kobieta pozostawała w kącie, w nadziei może, że nie zostanie dostrzeżona. Był to młody człowiek niskiego wzrostu z dużą głową i prawie bez szyi, z twarzą napuchniętą, wyłupiastymi oczami i wydatnymi wargami. Pewny siebie – z miejsca to zauważyłem – i antypatyczny. Machinalnie opuściłem wzrok na nogi i spojrzałem na jego buty; zobaczyłem, że są nowe, z tych, które mi się podobają, model amerykański, z podeszwą na słoninie i szyte jak mokasyny. Nie wydawał się bynajmniej przestraszony, i tak mnie to drażniło, że twarz skakała mi w tiku bardziej niż kiedykolwiek. – A wy coście za jedni? – zapytał.

– Policja – odpowiedziałem – nie wiecie, że jest wzbronione całować się w miejscu publicznym? Proszę mandat karny... A pani, panienko/ proszę się zbliżyć.?, niech się pani nie usiłuje chować.

Usłuchała i ustawiła się obok przyjaciela. Była, jak powiedziałem, trochę wyższa od niego, szczupła w talii, w kloszowej czerwonej spódnicy do pół łydki. Była ładniutka, miała buzię madonny.

czarne, długie włosy i wielkie, czarne oczy, wydawała się poważną dziewczyną, nawet nie umalowana, tak że gdybym nie widział, jak się całowała, nie przypuszczałbym, że jest do tego zdolna. – Nie wie pani, panienko, że nie wolno całować się w miejscach publicznych? – rzekłem, by nadać powagę mojej roli agenta. – I to pani, taka dystygowana, wstyd... całować się po ciemku, po ogrodach, jak jakaś prostytutka.

Dziewczyna chciała zaprzeczyć, ale on powstrzymał ją; po czym zwrócił się do nas zaczepnie: – Ach, mandat karny, to pokażcie papiery!

– Jakie papiery?

– Dowody tożsamości, które stwierdziłyby, że jesteście naprawdę parą agentów.

Przyszło mi na myśl, że on sam mógłby być z policji: nie zdziwiłbym się zresztą... 1 moim szczęściem! Rzekłem jednak gwałtownie: – Bez gadania! Macie mandat i musicie zapłacić.

– Jakie tam "płacić"?! – mówił płynnie jak adwokat i widać było, że się nie boi. – Jacy tam agenci, agenci, wy, z takimi twarzami? Ten w tej wiatrówce i ty w tych butach?... Co wam się zdaje, żeście trafili na głupiego?

Słyszając napomknienie o butach, które rzeczywiście takie podarte i rozczłapane nie mogły być butami agenta, dostałem ataku szału. Wyciągnąłem z płaszcza pistolet i wepchnąłem mu go mocno w brzuch, mówiąc: – Dobrze, nie jesteśmy agentami, ale ty wypruwaj pieniądze, i bez żadnych historii.

Lorusso dotychczas stał przy mnie i nie odzywał się, z otwartą' gębą — jak przystało na takiego głupca jak on. Ale kiedy zobaczył, że zaprzestałem tej komedii, zbudził się i on. — Zrozumiałeś? —: rzekł, podstawiając klucz francuski pod nos mężczyzny. — Wypruwaj forsę, jeżeli nie chcesz dostać tym po głowie.

To jego wtrącenie się rozdrażniło mnie jeszcze f bardziej aniżeli wyniosłe zachowanie tamtego. | Dziewczyna, widząc to żelazne narzędzie, lekko 1 krzyknęła, a ja powiedziałem jej uprzejmie, po-j •trafię bowiem być uprzejmy, jeżeli chcę: — Niech I panienka nie zwraca na niego uwagi... on jest! głupi,.. niech pani będzie spokojna, nic wam się! złego nie stanie... proszę się wycofać tam do kątaj i zostawić nas, a ty odłóż to żelazo. — Po czym powiedziałem do mężczyzny: — No, to prędko.!

Trzeba przyznać, że ten młody człowiek, mimo! iż bardzo niesympatyczny, był jednak odważny.! Nawet teraz, kiedy trzymałem pistolet zatopiony! w jego brzuchu, nie okazywał strachu. Wsunął! po prostu rękę na piersi i wyciągnął portfel. —1 Oto portfel. — Wkładając do kieszeni pomacałem go i wyczułem pod palcami, że pieniędzy* było tam niewiele. — Daj mi teraz zegarek. —I Zsunął zegarek z ręki i podał mi. — Oto zegarek— Był to marny zegarek stalowy. — Teraz dajfl mi pióro. — Wyciągnął pióro z kieszonki. — Oto pióro. — Pióro było dobre, amerykańskie, ze stalówką otoczoną oprawką, aerodynamiczne. Niej pozostawało mi już nic do odebrania. Nic, z wył

jątkiem tych wspaniałych nowych butów, które od początku mnie zafascynowały. Odezwiał się z ironią: – Chcecie coś jeszcze? – a ja na to bez wahania: – Tak, zdejmuj buty.

Tym razem sprzeciwił się: –j Butów, nie. – I wtedy nie wytrzymałem. Od pierwszej chwili już miałem ochotę trzasnąć go po tej jego wyklepanej i antypatycznej twarzy i" chciałem zobaczyć^ jakie wrażenie zrobi to na nim i na mnie. Powiedziałem więc: – Zdejmuj buty, prędko... nie udawaj głupiego. – I wolną ręką uderzyłem go w twarz, nieco ukośnie. On zrobił się czerwony, czerwony, a potem biały, i zrozumiałem, że zaraz się na mnie rzuci. Ale na szczęście dziewczyn * na zawołała ze swego kąta: –' Tak, Gino, daj im wszystko, czego żądają – a on wpatrując się we mnie zagryzł wargi do krwi, po czym skłaniając głowę rzekł: – Niech będzie. – Następnie pochylił się i zaczął rozwiązywać sobie buty. Zdjął je jeden po drugim i zanim mi je podał, popatrzył na nie z żalem: podobały się i jemu. -Bez butów był naprawdę niski, niższy nawet od Lorusa. Zrozumiałem też, • dlaczego kupił sobie parę butów z tak wysoką podeszwą. I wtedy nastąpiła rzecz fatalna—On, w skarpetkach, pytał: – Co teraz chcecie?... koszulę także? – ja trzymając buty w ręku miałem mu odpowiedzieć, że tyle wystarczy, kiedy coś musnęło mi czoło.

Był to mały pajęczek, który opuścił się na nitce z sufitu cieplarni, i spostrzegłem go prawie natychmiast. Uniosłem rękę do czoła, bo chciałem

go odegnąć, tymczasem Lorusso, prawdziwe zwierzę, myśląc, że dałem mu znak,, od razu uniósł klucz francuski i' wymierzył potężne uderzenie w tył głowy tamtego. Sam usłyszałem to uderzenie, głośne i głuche, jak gdyby trafił w cegłę. A tamten od razu zwałił się na mnie, obejmująco mnie niemal, jak pijany; a potem zsunął się w dół, z twarzą odrzuconą i wywróconymi oczami, tak że widać było tylko białka. Dziewczyna krzyknęła piskliwie, rzuciła się z kąta i wołając go po imieniu przypadła do leżącego nieruchomo na ziemi. By zrozumieć, do jakiego stopnia Lorusso jest głupcem, wystarczy powiedzieć, że w tym -zamieszaniu ponownie uniósł klucz francuski nad głową dziewczyny, zapytując mnie spojrzeniem, czy i z nią ma się tak zabawiać jak z jej przyjacielem. Krzyknąłem mu: – Czyś zwariował? Idziemy stąd – I uciekliśmy.

Skoro tylko znaleźliśmy się znowu w alei, powiedziałem do Lorusso:– Idź teraz powoli, jak gdybyś spacerował... Dość głupstw już dziś narobiłeś. –■ On zwolnił kroku, a ja, nie zatrzymując się, wpakowałem buty do płaszcza, po jednym do każdej kieszeni.

Podczas gdyśmy szli, powiedziałem do Lorusso:– I jeszcze się dziwisz, jak ci mówię, że jesteś durniem... Co ci wpadło do głowy, żeby go trzasnąć? – Popatrzył na mnie i odrzekł: – Dałeś mi znak. –Jaki znak? To był pająk, który mi musnął czoło. – A skąd ja miałem wiedzieć?... Dałeś mi znak. – W tej chwili tak byłem rozju-

szony, że byłbym go udusił. Powiedziałem ze złością: – Dureń z ciebie naprawdę... pewnie go zamordowałeś. – A on na to, jak gdybym rzucał przeciwko niemu oszczerstwa, zaprzeczył: – Nie, uderzyłem go odwrotną stroną, tam gdzie nie ma ostrza... gdybym go chciał zamordować, uderzyłbym ostrzem. – Nic nie powiedziałem, skręcałem się ze złości, a twarz mi drżała do tego stopnia przez ten tik, że musiałem ręką przytrzymywać policzek. On tymczasem znowu zaczął: – Widziałeś, jaka ładna dziewczyna?... O mały włos byłbym jej powiedział: "Chodź, ślicznotko, chodź"... może akurat by się zgodziła... źle zrobiłem, że nie spróbowałem. – Szedł zadowolony ze siebie, napuszony, i wciąż mówił, co to on by zrobił dziewczynie i jak by to zrobił; wreszcie powiedziałem mu: – Słuchaj, zamknij ten przeklęty pysk i siedź cicho... bo nie odpowiadam za siebie. – Zamilkł i nie odzywając się przeszliśmy plac Flaminio, nadtybrze, most i doszliśmy do placu LibertA. Tam w cieniu drzew są ławki, nikogo na nich nie było i nawet trochę mgły nadchodziło od Tybru. – Siądźmy tu na chwilę, to zobaczymy, ileśmy zarobili... a poza tym chcę przymierzyć buty.

Usiedliśmy na ławce i, pierwsza rzecz' otworzyłem portfel. Znalazłem tylko dwa .tysiące lirów i podzieliliśmy się po połowie. Potem powiedziałem do Lorusa: – Właściwie na nic nie zasługujesz, ale jestem uczciwy, daję ci portfel i zegarek... Dla siebie biorę buty i pióro... Zgoda? –

Ale on z miejsca zaprotestował: – Nie ma zgody! Co to za system? Gdzie ta połowa? – Na co ja rozzłoszczony: – Tyś popełnił błąd, jest więc słuszne, żebyś zapłacił. – Kłóciliśmy się tak dłuższy czas, wreszcie uzgodniliśmy, że ja zatrzymam buty, a on weźmie portfel, pióro i zegarek.

Powiedziałem mu jednak: – Co ci po piórze? Nie potrafisz się nawet podpisać. – A on na to: – Bądź łaskaw przyjąć do wiadomości, że umiem pisać i czytać, chodziłem do trzeciej klasy, szkoły* powszechnej– a poza tym, takie pióro na placu Colonna zawsze ode mnie odkupią– Ustąpiłem, bo nie mogłem się doczekać, by zrzucić stare buty, a zresztą dość miałem kłótni i ze zdenerwowania dostałem bólu żołądka. Zdjąłem więc buty i przymierzyłem te nowe Ale z rozczarowaniem odkryłem, że były za krótkie. A wiadomo: na wszystko jest rada, ale nie na za krótkie buty. Rzekłem wtedy do Lorusa; – Patrz, buty są za krótkie, za to są akurat na twoją nogę... Zamieńmy się... Ty mi dasz twoje, które są za duże na ciebie, a ja ci dam te, są ładniejsze i nowsze od twoich. – Tym razem zagwizdał przeciągle, jakby z pogardą, i odpowiedział: – Biedaczku! Jestem wprawdzie durniem, ale nie do tego stopnia! – Co to Znaczy? – To znaczy, że czas iść spać. – Spojrzał bezczelnie na zegarek tamtego chłopca i dodał: – Na moim zegarku jest wpół do dwunastej, a na twoim? – Nic nie powiedziałem, wło- żyłem buty do kieszeni płaszcza i poszedłem za nim.

Wsiadliśmy do tramwaju, a ja przez cały czas trapiłem się niesprawiedliwością mego losu i myślałem, jak głupi jest Lorusso i co powinienem uczynić; by odda] mi swoje buty w zamian za moli e- Kiedy wysiedliśmy z tramwaju w naszej dziel- inicy, zacząłem kłócić się z nim ponownie, a nawet [widząc, że na rozum nic z tego nie wyjdzie, bła- [gałem go: – Lorusso, dla mnie te buty to życie. = Bez butów nie mogę już żyć. Jeśli nie chcesz tego ■ zrobić, by nie sprawić mi przyjemności, uczyni to ^przynajmniej przez miłość do Boga. – Znajdowaliśmy się na pustej ulicy, tam, daleko, w okolicy Świętego Jana. On zatrzymał się pod latarnią li zaczął obracać stopę na wszystkie strony, z próżnością, mnie na złość. – Ładne są te moje buty, prawda?... Masz na nie ochotę?... Ale nie wysilaj 'się... i tak ci ich nie dam. – Potem zaczął sobie podśpiewywać: – Rób, co chcesz, rób, co chcesz, rób, co chcesz, nie dostałeś i nie dostaniesz. – Kpił sobie ze mnie. Zagryzłem wargi i przysię- gam, że gdybym miał kule w pistolecie, byłbym -go zabił, nie tylko za buty, ale dlatego, że nie mogłem już go znieść. Tak doszliśmy do sutereny, |w której sypialiśmy. Zapukaliśmy do okna, do- zorca, burcząc jak zwykle, przyszedł nam otworzyć i zeszedliśmy do sutereny. Stało tam pięć pry- jczy w rzędzie: na pierwszych trzech spali dozorca i jego dwaj synowie, młodzi ludzie jak my, na dwóch w końcu – Lorusso i ja. Dozorca kazał sobie zapłacić z góry, potem zgasił światło 1 poszedł spać, a my po cichu poszukaliśmy pryczy i położy-

liśmy się. Znalazłszy się Jednak, pod tym cieniutkim kocykiem, zacząłem znów myśleć o butach i w końcu powziąłem pewną decyzję. -Lorusso spał | w ubraniu, ale widziałem, że zdejmuje buty | sta-J' wia je na ziemi między pryczami. Wstanę poi ciemku, wezmę Jego buty, zostawiając mu swoje,! a potem udając, że idę do ubikacji, która znaj-! , dowąła się przy wejściu do sutereny, ulotnię się. I Pomyślałem, że opłacało mi się to także dlatego,! że Lorusso mógł naprawdę zamordować tego czło-1 wieka w cieplarni i lepiej było z nim nie zosta-1 wać. Lorusso nie znał mojego nazwiska, wiedział! tylko, jak mi na imię, tak więc gdyby go areszto-i wali, nie umiałby powiedzieć, kim jestem. Niewie-1 le myśląc podnoszę się, stawiam nogi na ziemi, pol cichutku pochylam się, wkładam buty Lorusa.I Miałem je zasznurować, kiedy poczułem gwałtow-1 ne uderzenie: na szczęście poruszyłem się i ude-B rzenie musnęło mi ucho t spadło na ramię. Tol Lorusso po ciemku uderzył mnie tym przeklętym ^L kluczem francuskim. Z bólu tym razem straciłem BM głowę, wstałem 1 uderzyłem go na oślep. Schwy-| cii mnie za kłapy usiłując jeszcze raz uderzyć mnie kluczem i razem runęliśmy na ziemię. W tym hałasie obudził się dozorca 1 jego dwaj synowie I zapalili światło. Ja* krzychałem: – Mor-; derca! – A Lorusso z drugiej strony ryczał: –j Złodziej! – A tamci także krzyczeli i usiłowali I nas rozdzielić. Potem Lorusso uderzył kluczem do-| zorcę. Było to ogromne chłopisko i byle co wy-Ł starczało, by go rozwścieczyć. Chwyił za krzesło

I chciał uderzyć Lorusaa w głowę. Wtedy Lorusso ustawił się w głębi sutereny, pod murem, I wymachując kluczem zaczął wrzeszczeć: – Podchodźcie, jakeście tacy odważni! Zakatruję was Jednego po drugim... wszystkich... Jestem postrachem Rzymu! – wyglądał zupełnie jak obłąkany, czerwony na twarzy, oczy wyłazące z orbit. Wtedy – tak byłem wytrącony z równowagi – popełniłem nieostrożność, wołając: – Uwaga, dopiero co zabił człowieka!... To morderca! – Krótko mówiąc, podczas gdy my usiłowaliśmy oowstrzy- mać Lorusa, który ryczał i szarpał się zupełnie jak szalony, jeden z synów dozorca poszedł po policjantów. I trochę dzięki mnie, trochę dzięki Lorusowi – całe wydarzenie w cieplarni wyszło na jaw i zaarrestowano nas obu.

W komisariacie, do którego nas zaprowadzili, wystarczył jeden telefon i od razu nam powiedzieli, że byliśmy tymi dwoma, którzy dokonali napadu w parku Borghese. Ja powiedziałem, że to był Lorusso, a on tym razem, może dlatego, żeśmy tak pobili, nie odezwał się. Komisarz mówił: – Ówieniel! Doskonale! Napad z bronią w ręku % usiłowanie zabójstwa. – Ale żeby zrozumieć, do jakiego stopnia nieodpowiedzialny jest Lorusso, ■iłość powiedzieć, że po chwili, otrząsając się jakoby, zapytał: – Jaki to dzień będzie jutro? – "Piątek – odpowiedzieli mu. A on na to zaciera- jąc ręce: – O, to doskonale, Jutro w Królowej •Niebios jest zupa fasolowa – Dowiedziałem się w ten sposób, że był też recydywistą, choć przy-

sięgał mi zawsze, że się nigdy nie dostał do więzienia. Potem popatrzyłem na swoje nogi, zobaczyłem, że zostały mi buty Lorusa, i pomyślałem^ że w gruncie rzeczy osiągnąłem to, czego pragnąłem.

Przełożył Ryszard Landak

Pechowiec
(Perdipiede)

Pecha zacząłem mieć od razu, za ledwie przyszedłem na świat, a to z tej przyczyny, że mojej twarzy brakowało brody. Broda nie jest wprawdzie najważniejszą częścią twarzy, jest mniej ważna niż nos czy oczy, niemniej jeśli jej brak, wszyscy — nie wiadomo dlaczego — biorą człowieka za półgłówka. I nie dość na tym. Pech prześladował mnie dalej, bo jako trzynastoletni chłopiec zostałem sierotą; i znowu pech, ponieważ zamieszkać musiałem u ciotki, chłopki z QociariV gdzie żyłem w skrajnej nędzy; później jeszcze dwa dni i dwie noce spędziłem zasypany w ruinach zbombardowanego domu; potem wojna, Niemcy, alianci, głód, lata powojenne, czarna giełda, konserwy; pech nie opuszczał mnie ani na chwilę. Jeżeli życie — Jak powiada przysłowie — porównać można do drabiny, po której jedni schodzą w dół, a inni pną się do góry, to ja — z winy owej brody, którą powinienem był mieć, a której nie miałem — szedłem zawsze w dół po tej drabinie życia. Zszedłem po niej aż tak nisko, że kiedy rok temu znalazłem kąta u dozorców w

śródmieściu Rzymu ! zacząłem utrzymywać się częściowo z jałmużny, a częściowo wynajmując się na posługi na tej samej ulicy, gdzie mieszkał dozorca, miałem wrażenie, po raz pierwszy od mego urodzenia, że zaczynam piąć się w górę*# Trudno wam będzie uwierzyć, ale tym razem , wybawił mnie właśnie ów brak brody. Ulica, na której zamieszkałem, pełna była sklepów kolonialnych, rzeźniczych, składów win, wędliniarni: . drogerii, i wszyscy ich właściciele, mający dużą klientelę, potrzebowali kogoś, kto odnosiłby paczki, wyrzucał zużyte opakowania, chodził na posyłki. Widząc, że jestem bez brody, ale silnie zbudowany, sklepikarze litowali się nade mną; | tak, u tego, to u tamtego, wynajmowałem się na posyłki i mogłem liczyć na sporą ilość napiwków® Na tej samej ulicy znajdowało się także kilka jadłodajni i restauracji; także restauratorzy, powodowani współczuciem, raz po raz zapraszali mnie na zupę. Chodziłem w wojskowej koszuli i w poJS| łatanych na kolanach spodniach; znalazł się ktosi kto podarował mi marynarkę, przetartą nieco na .J łokciach, ale poza tym jeszcze w dobrym stanie* ktoś inny parę butów. Po miesiącu mogłem sobie; śmiało powiedzieć, że nie mam już pecha, i c<* ~ więcej, że porastam w piórka.

Kiedy ludzie chodzą po mieście piechotą czy jeżdżą samochodami, wszystkie ulice, wydają się podobne do siebie; ale jeżeli ktoś, jak ja właśni nie, przebywa na ulicy od rana do nocy, ulica.^ staje się dla niego całym światem, w którym stalg

le odkrywa coś nowego. Na tej ulicy, gdzie znałem natoet koty, byli tacy, którzy mnie lubili, tacy, którym byłem obojętny, i wreszcie tacy, którzy mnie nie lubili. Kupcy i restauratorzy lubili mnie, bo byłem usłużny, nadskakujący. Fryzjer, właścicielka sklepiku z galanterią, aptekarz, drogista odnosili się do mnie obojętnie, bo ani oni "mnie, ani ja im nie byłem potrzebny. Natomiast kilkunastu młodzieńców, którzy spotykali się co--l dziennie w barze koło piekarni, nie znosiło mnie po prostu. Była to grupka kibiców sportowych, którzy spędzali cza&skacząc sobie do oczu w nieustających dyskusjach na temat piłki nożnej czy wyścigów kolarskich; widocznie sport wybiera ujemny wpływ na charakter człowieka, bo każe mu brać stronę silniejszego i pogardzać słabszym. Ja byłem ten słaby, i gdy tylko wchodziłem do baru,, oni prześcigali się w docinkach i nadawaniu mi rozmaitych przezwisk. Nazywali mnie Pechowcem, ponieważ kiedyś poczęstowali mnie winem w jadłodajń? i ja, dając się wyciągnąć na zwierzenia, opowiedziałem im o fcechu, który prześladowuje mnie od dnia urodzenia; wynajdywali dla mnie fikcyjne posyłki, zagadywali drwiąco: – Te, Pechowiec, przyznaj się, ciągle jeszcze masz pecha? – Albo doradzaji mi z poważnymi minami;

Słuchaj, dla własnego dobra powinieneś zapaść sobie brodę... nikt wtedy nie dostrzeże, że czegoś ci brak. — Była to złośliwa rada, bo lichy wie dlaczego, zamiast zarostu mam tylko kilka długich, wijących się włosków – i to

wszystka Jednakże, na przekór tym młodzieńcom bez serca, porastałem w piórka, czyli udawało nu się wiązać koniec z końcem. Co więcej, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w życiu jestem przyzwoicie ubrany, najedzony, mam własne łóżko i dach nad głową, a nawet parę soldów w sakiewce, nie przestawałem się dziwić, ale wierzyłem nieomal, czy to prawda, i powtarzałem sobie: – Wystaw dwa palce od -uroku, zobaczysz, że to długo nie potrwa... Wystaw dwa palce od uroku. Istotnie, nie potrwało długo. Pewnego letniego ranka, wchodząc do mydlarni po skrzynię puszek z naftą, którą miałem odnieść do klienta, zauważyłem, że owa grupka "sportowców" była czymś niesłychanie zainteresowana i że wszyscy ustawili* się w kółko w głębi sklepu. Udawałem, że ich nie widzę, 1 z wyniosłą miną podszedłem do lady. OnJ jednakże zobaczyli mnie i z&częh wołać jeden przez drugiego: – Te, Pechowiec, chodź no tutaj na chwilę zobaczyć kogoś! – Nie miałem zamiaru ich posłuchać, ale ktoś pociągnął mnie za ramię i musiałem skapitulować. Otóż w głębi sklepu, koło sterty rolek papieru higienicznego, siedział na krześle jakiś człowiek, który szlochał i bił się pięścią po głowie. Ubrany był w welwe- towe spodnie i trykotową koszulkę bez rękawów. Płakał, zawodził i bił się w głowę jedną tylko ręką. bo z drugiej strony sterczał mu krótki zaokrąglony kikut, wyglądający z daleka jak kolano. Potem, kiedy uniósł w górę twarz płaską, obrośniętą czarną brodą, zobaczyłem, że brak mu

też jednego oka; ale za to drugie mogło starczyć za dwoje: żywe, połyskliwe, drwiące. Młodzi ludzie wyjaśnili mi, że to jest prawdziwie nieszczęśliwy ^{uj} człowiek, o wiele nieszczęśliwszy ode mnie: nie dość, że upośledzony, samotny, bezdomny, bez- ręki, ślepy na jedno oko, ale w dodatku kulawy; dorzucili poza tym, że od dzisiaj będzie on ze JP mną współzawodniczył, bo znalazł na tej samej ulicy kąt pod schodami i chce tak jak ja chodzić na posługi, jednym słowem znalazł się tu po to, "żeby wysadzić mnie z siodła. – Tobie brak tylko brody, no i piątej klepki – rzekł jeden ze "sportowców" – a jemu brak ręki i oka, i jeszcze do tego kuleje... Nasz Pechowiec został pobity. – P,owiedziałem, że nie mam czasu, i skierowałem vsię ku drzwiom. On! jednakże zatrzymali mme --mówiąc, że my dwaj musimy uścisnąć sobie ręce, jako najbardziej upośledzeni ze wszystkich miesz- J kańców tej ulicy. Tak więc uścisnęliśmy sobie/ dłonie, po czym bezręki, który był kuty na cztery ^t nogi, zaczął się zgrywać wyrywając sobie włosy, bijąc się pięścią w głowę i zawodząc: – Zostawcie mnie w spokoju, odechciało mi się żyć, chcę ze sobą skończyć, pójdę i rzucę się do Tybru! Tak, m tak, pójdę i skoczę do Tybru. – Cała ta scena, na którą musiałem patrzeć, była szyta tak grubymi nićmi, że zbierało mi się na wymioty. Powiedziałem też w końcu: – Nie rzucisz się do Tybru, nie ma obawy. – On zerknął na mnie tym jednym okiem i ryknął: – Ach, tak?! Nie rzucę się • do Tybru?! Zobaczymy, pójdę tam zaraz, natych-

miast! – I udał, że chce wstać, aby biec do Tybru, który istotnie znajdował się niedaleko. A moral: zatrzymali go, wetknęli mu parę groszy, a kiedy ja podszedłem do lady i powiedziałem: – Dawajcie te puszki – usłyszałem taką odpowiedź: – Musisz uzbroić się w cierpliwość. Te puszki damy dzisiaj do odniesienia jemu, który jest o wiele nieszczęśliwszy od ciebie. Raz ty, raz on, nie będziesz miał krzywdy. – Tak więc. on otarł po chwili łzy, podniósł jedną ręką skrzy- nię z puszkami, błyskawicznie zarzucił ją sobie na ramię i choć utykał, szybkim krokiem wyszedł ze sklepu. Ja zostałem z pustymi rękami, a młodzi! ludzie pokpiwali ze mnie ile wlezie mówiąc, że-: zjawiał się konkurent i że muszę mieć się na bacz-| ności, aby nie pozbawił mnie mojego “stanó-j wiska”.

Oni stroili sobie żarty, a tymczasem tak się^ naprawdę stało. Ta kanalia Knajpiarz (przez wano < gó tak, bo nie stronił od kieliszka i wszystkie , wieczory spędzał w knajpie), ślepy, bezręki, ku-« lawy, zapłakany, jęczący, bijący się pięścią w g2ó-| wę, szybko zdmuchnął mi sprzed nosa kilka sta-j łych posyłek. Zachodziłem do tego czy innego sklepu, gotów do załatwienia tych samych co za- . zwyczaj zleceń czy też odniesienia paczek, i wszę-> dzie /słyszałem tę samą śpiewkę: – Daliśmy to do załatwienia Knajpiarzowi... miejże trochę cierpliwości... on jest w większej potrzebie niż ; ty... na przyszły raz przyjdzie kolej na ciebie. – Minął przeszło miesiąc i ciągle słyszałem to samo:

– Knajpiarz jest w większej potrzebie... uzbrój się w cierpliwość. – Nie brakło mi cierpliwości, "ale rozumiałem, że dalej tak być nie może! Knajpiarz zalewając się łzami, bijąc w głowę i grożąc, że *rzuci się do Tybru, płynął na rozwiniętych żaglach, a mnie znowu jak dawniej, bardziej jeszcze niż dawniej, prześladował pech. Na koniec kroplą, która przepelniła kielich, była odpowiedź, jaką usłyszałem od piekarza, kiedy zwróciłem się do mego po posyłkę: – Posłuchaj no, wydaje mi się, że przesadzasz, jesteś młody, silny, zręczny, dlaczego me znajdziesz sobie jakiejś stałej pracy? Knajpiarz to co innego, brak mu ręki, jednego oka. jest kulawy. Ale tobie niczego nie brak, czemu me weźmiesz się do pracy? – Cóż mogłem odpowiedzieć? Że brak mi brody? Brodą się przecież nie pracuje. Nic nie odpowiedziałem, ale od Sęg.0 dnia stało się dla mnie jasne, że na tej ulicy me ma miejsca dla nas obu: albo ja, albo on.

Kilka - dni później, rano, przypomniałem sobie, że mam odnieść skrzynię butelek wody mineralnej do pewnego klienta i że Knajpiarz na skutek Swoich krętaństw załatwił tę posyłkę wczoraj; dzisiaj więc była moja kolej. Pobiegłem do wytwórni ciastek ! powiedziałem do właściciela siedzącego w kasie: – Przyszedłem po te butelki. – Cukiernik robił rachunki i nie od razu mi odpowiedział; po chwili, nie podnosząc głowy^ zawołał: – Dajcie mu te butelki! – Ale chłopiec w barze odpowiedział: – Daliśmy je* już Knajpiarzowi... spóźniłeś się... daliśmy je tamtemu, myśleliśmy.

że już nie przyjdiesz. — Przecież jest jeszcze wcześniej — odpowiedziałem opanowany, ale już wściekły — Cóż z tego... on przyszedł pierwszy/ nic już teraz na to nie poradzę. — Zapytałem; — Czy dawno wyszedł? — Nie, przed chwilą. — Po-
wiedziałem: — Sam sobie poradzę. — Musiałem, mieć zmieniony wyraz twarzy, bo “sportowcy”/ którzy byli świadkami tej sceny, wyszli za mną* na ulicę. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej Knaj-| piarz kuśtykał po chodniku ze skrzynią butelek! na ramieniu. Dopędziłem go, chwyciłem za ramię,! na którym niósł skrzynię, i powiedziałem, łapiąc oddech: — Postaw te butelki, dzisiaj moja kolej g — On odwrócił się i rzekł zaczepnie: — Zgłupiałeś czy oo? — Mówię ci, że masz postawić na ziemi te butelki! — Ty mi będziesz rozkazywał! — Tak, ja! A jak nie posłuchasz, to ci dam taką nauczkę, że popamiętasz mnie na całe życie. — Tak? Proszę, i kto to mówi?? — Ja ca to mówię. — Mocowaliśmy się przez chwilę, potem pchnąłem go: skrzynka upadła na ziemię, butelki potłukły się- zalewając chodnik wodą mineralną. Wówczas on,' ten komediant, od razu zaczął zawodzić, zwraca-? jąc się do grupki młodych ludzi, którzy przez cały czas szli za nami, a teraz otoczyli nas dokoła? — Wszyscy jesteście świadkami... to on potłukł butelki! Biorę was wszystkich na świadków. — Wtedy całkiem straciłem głowę; miałem w kieszeni niewielki nóż, ścisnąłem go w dłoni i rzu- ciłem się na Knajpiarza. Schwyciłem go za koszulę i potrząsając nim wołałem: — Masz się stąd

zabierać, zrozumiałeś?! Masz się stąd zabierać! – Ma widok a oż ludzie zaczęli krzyżeć, ktoś wykręcił nu rękę w przegubie, nóż upadł na ziemię, jakiś chłopiec podniósł go w mgnieniu oka Knajpiarz tymczasem rzucał się na wszystkie strony, trzeszcząc: – Chce mnie zamordować! Na pomoc¹ Chce mnie zamordować! – Jednakże po chwili widząc, że mnie trzymają i że ołc mu już" nie grozi, jak prawdziwy tchórz wymierzył ml Cios w twarz kością kikuta, cios silny niczym uderzenie kamieniem Ryknąłem wyrwałem się i rzuciłem na niego. AJe on. pomimo że kulawy, był zręczny i zaczął chować się za plecami gapiów, nie przestając wykrzykiwać, że chcę go zamordować. Ja biegłem za nim, czerwone plamyHańczyły nr przed oczyma, ooiotałem się niczym byk. który atakuje tu ! tam z nastawionymi roganU, a ludzie uciekają na wszystkie strony i byk trafia rogami iw próżnię Gdy przybliżałem się, tłum się rozpraszał i znowu skupiał dokoła, a Knajpiarz ciągle mi się wymykał. W końcu niejaki Renato, najsilniejszy z grupy "sportowców", chwycił*mnia z tyłu za ramiona, mówiąc: – Dość tego! Nie ruszaj się z miejsca! – Muszę zaznaczyć, że miałem do niego nie mniejszą urazę niż do Knajpia- fza, odwróciłem się więc ! dałem mu pięścią w twarz. Ten cios zgubił mnie. Renato natychmiast odwzajemnił mi się takim uderzeniem, ze potoczyłem się po chodniku, a kiedy wstałem; zobaczyłem policjanta, który wziął mnie pod ramię. Ciągnął mnie za sobą, choć krew lała mi

Przełożyła m Zofia ErnstowW

się z nosa. Za nami podążał tłum gapiów, a Knafc piarz jeszęże z daleka wykrzykiwał, że chciałem go zamordować. Znalaziono nóż i zostałem skazać ny. Kiedy wyszedłem z więzienia, zrozumiałem^ że mój pech z Knajpiarzem przeszedł wszystko/ co mi się dotychczas przydarzyło. I noga moja nie postóła więcej na tej ulicy: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Przyjaźń (l/amicizia)

Mariarosa to imię podwójne, a kobieta, która je nosiła, także składała się jakby i dwóch osób, zarówno pod względem urody, jak i usposobienia. Twarz miała jak krew z mlekiem, pyzată niczym księżyc w pełni, nieproporcjonalną do przeciętnych rozmiarów figurki. Mariarosa przypominała ów gatunek róż, zwanych "główkami kapusty", których ogromne, gęsto zbite pęki podobne są do kapusty. Jednym słowem, kiedy spojrzało się na nią, natychmiast nasuwała się myśl, że 1 takiej twarzy można by bez trudu wykroić dwie. Przy tym twarz ta była zawsze pogodna, uśmiechnięta, anielska prawie, co stanowiło całkowite przeciwieństwo z charakterem Mariirosy, która – o czym miałem sposobność przekonać się na wł- •snej skórze — była wcielonym diabłem. I dlatego powiedziałem, że dwulicowe było także jej usposobienie.

Zalecałem się do .niej na wszystkie sposoby; z początku byłem usłużny, nadskakujący, pełen szacunku; później, widząc, że w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, próbowałem być bardziej natar

czywy. Wyczekiwałem na schodach, usiłując przemocą ukraść jej całusa: wszystko, com zyskał, to kilka kuksańców, a w końcu dostałem po gębie. Przyszło mi wówczas do głowy, by udawać obrażonego; przybrałem wyniosłą postawę, przestałem się kłaniać, odwracałem głowę, kiedy ją spotykałem; jeszcze gorzej, przestałem dla niej istnieć. Na koniec uderzyłem w ton proszący, błagalny, doszedłem do tego, że ze łzami w oczach zaklinałem ją, by mnie pokochała: wszystko na nic! I żeby chociaż raz na zawsze dała mi odprawę! Ale ona – wcielenie przewrotności – właśnie wtedy, gdy wysyłałem ją do wszystkich diabłów, chwyciła mnie znowu na wędkę jednym gestem, słowem, spojrzeniem. Później zrozumiałem, że wielbiciele są dla kobiet czymś w rodzaju bransoletek czy naszyjników, błyskotkami, których w miarę możliwości wolą się nie pozbywać. Ale wówczas, na widok owych gestów, spojrzeń, myślałem sobie: – A jednak coś w tym jest., spróbuję jeszcze raz. – I oto jak grom z jasnego nieba spadła na mnie wiadomość, że ta kokietka zaręczyła się z moim najserdeczniejszym przyjacielem Attiliem. Rozgniewało mnie to z wielu powodów; przede wszystkim dlatego, że Attilio zdmuchnął mi ją sprzed nosa, a ona nie wspomniała mi o tym /ini słowem; a poza tym nikt inny, tylko ja właśnie, przedstawiłem jej Attilia i okazałem się mimowolnym winowajcą tego, co się stało.

Ale jestem dobrym przyjacielem i przyjaźń przedkładam ponad wszystko.
Kochałem Marię-

rosą, pomimo to, od chwili gdy została narzeczoną Attiia, była dla mnie święta. Ona może by nawet miała ochotę dalej mnie kokietować, ja jednakże wszelkimi możliwymi sposobami dałem jej poznać, co o tym myślę, a w końcu powiedziałem pewnego dnia prosto I mostu: – Jesteś kobietą i nie rozumiesz, co to jest przyjaźń. Od chwili, kiedy zaręczyłaś się z Attiim, nie istniejesz dla mnie. Nie widzę cię i nie słyszę: rozumiałaś? – Odniosłem wrażenie, że pojęła mniej więcej, o co chodzi, jednakże w dalszym ciągu nie przestawała mnie wabić. Postanowiłem więc, że w ogóle nie będę jej dostrzegał, i dotrzymałem słowa. Dowiedziałem się później, że wzięli ślub i zamieszkali u jej siostry, która była pielęgniarką, że Atti- . lio, który zazwyczaj dziewięć dni na dziesięć był bezrobotny, znalazł zatrudnienie jako tragarz w przedsiębiorstwie transportowym, a Mariarosa, jak dawniej, wynajmowała się na dniówkę do prasowania. Te wiadomości pocieszyły mnie nieco. Wiedziałem, że nie powodzi im się dobrze i że małżeństwo ich nie może pomyślnie się układać. Ale jako dobry, lojalny przyjaciel nie wtrą- jj ; . całem się do niczego. Przyjaciel to przyjaciel, przyjaźń rzecz święta.

Jestem blacharzem, a jak, wiadomo, blacharze krążą od domu do domu 1 wędrując mogą zajść nawet tam, gdzie wcale nie chcieliby się znaleźć. Kilka dni temu szedłem do klienta z torbą pełną | narzędzi, przewieszoną przez ramię, 1 ołowianą rurą w ręku, gdy przechodząc ulicą Ripetta, usły

szalem, że ktoś woła mnie po Imieniu: – Ernesto! – Obejrzałem się, to była ona.' Na widok jej py< zatej, pogodnej twarzy, jej figurki o talii osy, wydatnym biuście i rozłożystych biodrach, 'wró< ciło nagle dawne .uczucie i prawie że zabrakło mli. tchu. Ale pomyślałem sobie: "Jesteś jego przy-?; jacielem, zachowuj się jak przyjaciel". – Powiedziałem sucho: – Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem... – Trzymała pod pa-"; chą torbę na zakupy, pełną warzyw i paczuszek) owiniętych w żółty pergamin. Zagadnęła z uśmie-^ chem: – Nie poznajesz mnie? Powiedziałem przecież: góra z górą... – A ona ciągnęła dalejj^ – Czy nie mógłbyś odprowadzić mnie do domu? Dzisiaj właśnie zauważyłam, że w kuchni zepsuł się kran nad zlewem, no, chodźże ze mną. Odpowiedziałem lojalnie: – Dobrze, skoro idzie.

naprawę... – Rzuciła mi jedno z tych spojrzeń,' które dawniej przyprawiły mnie o zawrót gio-% wy, i dodała: – Ale musisz nieść moją torbę. – poszła naprzód, a ja za nią obładowany niczym? osioł: z narzędziami, ołowianą rurą i torbą ną zakupy.

Przeszliśmy kawałek przecznicą ulicy Ripetta, skręcając do niewielkiej bramy, która przypomi-, nała wejście do groty, po czym znaleźliśmy się na schodach brudnych, wilgotnych i cuchnących; do obrzydliwości.

Wchodząc na schody Mariarosa obejrzała się i powiedziała z uśmiechem: – Czy pamiętasz, jak wystawałeś na półpiętrze..., jak ja się ciebie ba

łam... czy też zapomniałeś już o tym? – Odpowiedziałem lodowato: – Marioroso, nie pamiętam Koniec. Pamiętam tylko to, że jestem przyjacielem Attilia i że nie ma nic ważniejszego od przyjaźni.

– Ona odrzekła nieco zmieszana: — A któż ci i broni być jego przyjacielem?!

Weszliśmy do mieszkania: trzy pokoiki na poddaszu z oknami wychodzącymi na podwórko g ciemne, bez promyka słońca, przypominające studnię. W kuchni trudno się było obrócić, oszklone drzwi otwierały się na balkon, który służył jako graciarnia. Mariarosa usiadła na stołku, rozstawiła szeroko kolana, wysypując na fartuch > fasolę do łuskania. Ja położyłem torbę na podłodze i przyklęknąłem koło zlewu, żeby zabrać się do naprawy. Zauważyłem od razu, że kurek jest do niczego, i uprzedziłem ją: – Zwracam ci uwagę, że trzeba założyć nowy kran, czy masz na to pieniądze?

– A przyjaźń?

– No, dobrze – powiedziałem z westchnieniem

– założę ci kran za darmo, to znaczy, że w zamian za to dasz mi całusa.

– A przyjaźń?

Przygryzłem wargi i pomyślałem: “Obosieczna przyjaźń” – ale nie powiedziałem nic. Wziąłem obcęgi, zdjąłem kolanko, które było również zepsute, odkręciłem kran, wyciągnąłem z kieszeni maszynkę do spawania, nalałem do niej benzyny

– wszystko w milczeniu. I właśnie wtedy usły-

• n?alem jej zapytanie: Czy naprawdę jesteś przyjacielem Attilia?

Odwrociłem się i spojrzałem na nią: siedziała ze* spuszczonejmi oczyma, zajęta łuskaniem fasoli, i uśmiechnięta, słodka niczym miód. Odpowiedziałem: -- A dlaczegoż by nie...

-- Wobec tego -- odrzekła spokojnie -- mogę mówić z tobą otwarcie... Dobrze go znasz i dla-; tego chciałabym dowiedzieć się właśnie od ciebie,..^ czy niektóre moje spostrzeżenia są słuszne.

Odpowiedziałem, że i owszem, niech mówi; za palilem tymczasem maszynkę i regulowałem pło- , mień, a ona ciągnęła dalej: -- Czy nie wydaje ci się na przykład, że to zajęcie, które znalazł, j jest dla niego nieodpowiednie?... Wynajmować się do noszenia ciężarów...

-- Chciałaś powiedzieć: być tragarzem.

-- Noszenie ciężarów to żaden zawód... Ja go namawiam, żeby uczył się pielęgniarstwa... potem ^ moja siostra mogłaby umieścić go w szpitalu.

Zamocowałem tymczasem kran. Wziąłem ma- j szynkę i trzymając ją w ręku, zapytałem bez na-1 myślu: -- Co chcesz usłyszeć, prawdę czy kom-1 plementy?

-- Prawdę.

-- Dobrze. Jestem przyjacielem Attilia, ale nie przeszkadza mi to widzieć jego wady... Przede wszystkim jest leniwy.

-- Leniwy?

Wziąłem kawałek cyny, przysunąłem maszynkę i zacząłem lutowanie. Rozległ się syk płomienia. ;

więc żeby go przekrzyczeć, podniosłem głos: – Tak, leniwy, musisz, moja droga, przywyknąć do .tej myśli, że masz męża próżniaka; ja na przykład jestem pracowity, on nie. Lubi późno wstawać, włóczyć się po mieście, wysiadywać w kawiarniach, czytać w gazetach wiadomości sporte - we, omawiać je.- Jest stworzony na tragarza, ale Sanitariusz toa odpowiedzialne zajęcie, nie widzę go w tej roll

–Ale ja – odpowiedziała z namysłem, tym swoim spokojnym głosem j§j nie jestem wcale pewna, czy on ma to zajęcie... Mówi, że idzie do pracy... jednakże pieniędzy jeszcze nie widziałam... Zaczynani przypuszczają, że on mnie okłamuje... Co o tym sądzisz?

– Czy kłamie? – odpowiedziałem bez chwili namysłu – ależ to największy kłamczuch, jakiego zdarzyło mi się spotkać... on ci wmówi, że białe to czarne... już co do kłamstw, to możesz być spokojna...

– Tak właśnie myślałam... Ale jeżeli nie chodzi pracy, to co robi?... Trudno mi uwierzyć, żeby przez cały dzień włóczył się po mieście i przesiadywał w kawiarniach... Coś w tym musi być... wychodzi zawsze w takim pośpiechu, jest taki zdenerwowany. – Przerwała i sięgnęła po garnek stojący na stole, żeby wysypać wyłuskaną fasolę. Zerknąłem na nią przez ramię: uśmiechnięta, spokojna, łagodna. Po chwili zaczęła mówić dalej: – Wiesz, co ja myślę? Ze on ma jakąś kobietę; ty go znasz, powiedz mi, czy to możli

we? – Jakiś głos wewnętrzny ostrzegał mnie: „Ernesto, miej się na baczności, uważaj, to pułapka”. Ale czy to mój zadawniony żal silniejszy był od rozsądku, czy też jej zarzuty pod adresem męża obudziły znowu moje nadzieje, dość, że nie mogłem powstrzymać się, aby nie odpowiedzieć: – A ja ci powiem, że masz rację... dla niego kobiety to wszystko... ładne czy brzydkie, starej czy młode... Nie wiedziałas o tym?

Lutowanie było skończone. Zgasilem maszynkę i ugniotłem palcami jeszcze miękką cynę. Potem zacząłem zaciskać żabką nakrętkę. Ona tymczasem ciągnęła dalej spokojnie: – Tak, coś niecoś wiedziałam, ale nic pewnego... a teraz, posłuchaj co mi przyszło do głowy... że on zadaje się- 2f Emilią, znasz ją?... Z tą rudą, która pracowała^ ze mną w pralni... Co ty na to?

Wstałem, Mariarosa wsypała fasolę do garnka i wstała także, strzepując łupiny ze spódnicy. Potem podeszła do zlewu, podstawiła garnek pod kran i puściła wodę. Stałem za nią, ujmując w obydwie dłonie jej gibką talię, i powiedziałemjj – Tak, to prawda, z Emilią widuje się codziennie^ pod wieczór, czeka na nią przed pralnią i odprowadza ją do domu. Teraz wiesz wszystko, na co czekasz?

Odwróciła nieznacznie twarz w moją stronę; 1 rzekła z uśmiechem: – Ernesto, czy sam nie^ mówiłeś, że jesteś jego przyjacielem? Zostaw mnie. Zamiast odpowiedzi próbowałem ją pocałować.

Ale ona wywinęła się i powiedziała twardo: – Skończyłeś już reperację i lepiej, żebyś sobie poszedł. – Ugryzłem się w język i odpowiedziałem: – Masz słuszność. ^, tracę przy tobie głowę... powinienem zawsze pamiętać o tym, że jestem przyjacielem Attilia i że ty jesteś jego żoną. –! Mówiąc to, upokorzony, zebrałem narzędzia i pożegnałem się, żeby już iść. W tym samym momencie otworzyły się drzwi od kuchni i stanął w nich Attilio.

Przywitał mnie serdecznie, jak -przyjaciela. – Jak się masz, Ern ©stoi – Mariarosa prosiła mnie, żebym naprawił kran... właśnie skończyłem: założyłem nowy kurek. – Dziękuję – powiedział podchodząc do mnie – dziękuję ci bardzo – gdy nagle spokojny, ale donośny głos Mariirosy kazał nam obydwóm obejrzeć się za siebie: – Attilio! ^ Stała wyprostowana przy piecyku, z uśmiechem na twarzy, opierając się ręką o marmurowy blat Ciągnęła dalej jednym tchem, nie podnosząc głosu: – Attilio, Ernesto także powiedział, że jesteś leniwy i nie masz chęci do pracy.

– Powiedziałeś to?!

!? — Mówił i to, co ja myślę, że kłamiesz jak najęty i bardzo możliwe, że wcale nie pracujesz jako tragarz.

→• Powiedziałeś to?!

– Potwierdził również to, o czym już wiedziałam, że widzisz się codziennie z Emilią i romansujesz z nią... Ja haruję jak sługa prasując po domach, ty przez ten czas zabawiasz się z Emilią...

a mnie mówisz, że Idziesz do pracy... Nie próbuj zaprzeczać, na nic się to teraz nie zda... Ernesto, który jest twoim przyjacielem i dobrze cię zna, potwierdził to wszystko. – Mówiła najspokojniejszym w świecie głosem, a ja zrozumiałem nareszcie, że dałem się wyciągnąć na zwierzenia wariatce. Istotnie, zaledwie skończyła mówić, a on rozwścieczony przybliżył się do mnie, po* wtarzając: – Powiedziałeś to? – Chwyliła żelazko do prasowania, stojące na piecyku, i cisnęła mu je w głowę. Wycelowała z taką dokładnością, że gdyby się nie schylił, zabiłaby go na miejscu. Nie potrafię powtórzyć, co się dalej działo. Ona, w ataku zimnej furii, chwyciła kolejno wszelkie ciężkie przedmioty leżące na piecyku, jak młotki, noże, garnki, i rzucała je w Attilia. On zasłaniał się 1 krył po kątach, a w końcu rzucił się do \$rzwi i uciekł. Uciekłem i ja, pozostawiając na podłodze trzymetrową ołowianą rurę, -i na łeb, na szyję zbiegłem ze schodów, a ona krzyczała za mną: – Żebyś mi się nie ważył tu więcej pokazywać, bo cię zabiję! – Nie czułem się bezpieczny, dopóki nie przeszedłem przez most i nie znalazłem się na placu, pośród ssieleńców. Tutaj usiadłem na ławce, żeby zaczerpnąć tchu. Pomyślałem sobie wtedy, że wygarnąłem jej to wszystko przez przyjaźń, bo wiedziałem dobrze, że Attalio Jest taki właśnie, a nie inny, i nie podobało mi się to. I poprzysiągłem sobie w duchu, że od Jego dalia nie będę już niczym przyjacielem.

Przcloiyla Zofia Ernst owa

List

(La parola mamma)

Różnie w życiu bywa, nigdy nie wiadomo, co się komu może przytrafić, toteż siedząc pewnego wieczoru w knajpie ze Stefaninim, zapytałem go, ot tak, między jedną rozmową a drugą, czy potrafiłby napisać mi list taki, jaki napisałby ktoś ginący z głodu, bezrobotny, a na dodatek obarczony chorą matką, który chce apelować do serca jakiegoś filantropa i prosić go o pieniądze na chleb i leczenie matki. Stefanini był głodoittorem w całym tego słowa znaczeniu; zawsze bez grosza, zawsze w poszukiwaniu jakiejś okazji, ale miał, jak się to mówi, dobre pióro. Z zawodu był dziennikarzem, raz po raz wysyłał jakiś artykuł do gazety wychodzącej w jego rodzinnych stronach, a w wolnych chwilach potrafił się zdobyć nawet na wiersze, pisane na ten czy inny temat, całkiem zgrabnie zrymowane. Moja prośba zaciekała go i zaraz zapytał, na co mi jest potrzebny taki list. Wyjaśniłem więc, że nigdy nie wiadomo, co się komu przytrafi; nie jestem literatem, nie mam łatwości pisania, a może przyjdzie taki moment, że podobny list okaże się potrzebny,

dodałem przy tym: – Nie zawsze się zdarza, że ma się pod ręką takiego Stefaniniego, który będzie umiał napisać list ze znajomością rzeczy. – Coraz bardziej zaciekawiony zapytał, czy moja matka naprawdę jest chora. Odpowiedziałem mu, że o ile mi wiadomo, matka, która pracuje na wsi jako akuszerka, cieszy się jak najlepszym, zdrowiem, ale, jednym słowem, wszystko się może zdarzyć. Krótko mówiąc, tak się dopytywał i tak nalegał, że w końcu powiedziałem mu całą prawdę: żyję z najrozmaitszych, jak się to mówi, fuksów, i w braku czegoś lepszego takim fuksem może być właśnie ów list, o którego napisanie gd proszę. Ku memu wielkiemu zdumieniu nie zgorszyło go to bynajmniej i zadawał mi jesz-ⁱ cze wiele pytań na temat, jak właściwie chciałbym urządzić się na przyszłość. Ujęty jego przyjacielskim podejściem, stałem się szczery; powiedziałem mu, że pójdę z tym listem do jakiegoś zamożnego człowieka, zostawię mu ten list wraz z artystycznym drobiazgiem, figurką z brązu czy jakimś malowidłem, zaznaczając, że za godzinę wrócę po odpowiedź. Będzie wyglądało na to, że ów przedmiot o wartości artystycznej ofiarowuję bezinteresownie, na znak wdzięczności, a w istocie ma on przyczynić się do podniesienia wysokości datku, ponieważ ofiarodawca nie lubi otrzymać więcej, niż sam daje. Na zakończenie zapewniłem Stefaniniego, że jeśli list dobrze będzie napisany, to przedsięwzięcie takie musi się udać; nie ma przy tym obawy jakiegoś doniesie

nia, bo idzie o niewielkie sumy, a zresztą nikt, kto daje się nabrać w podobny sposób, nie lubi się do tego przyznawać nawet przed policją.

Stefanini z najwyższą uwagą wysłuchał moich wyjaśnień, po czym oświadczył, że gotów jest napisać mi ten list. Powiedziałem mu, że musi położyć nacisk na trzy sprawy: głód, bezrobocie, choroba matki; odrzekł, że mogę na nim polegać: napisze wszystko, jak należy. Poprosił właściciela jadłodajni o arkusz papieru, wyjął z kieszeni wieczne pióro, wlepił na chwilę oczy w sufit, żeby się skupić, i raz, dwa, trzy machnął list, bez jednego skreślenia, bez jednej poprawki, tak że patrzyłem na niego z podziwem, nie dowierzając własnym oczom. Dodała mu zapewne ostrogi miłość własna, bo przypodchlebiałem mu się, mówiąc, że ma świetne pióro i zna wszystkie arkana sztuki pisarskiej. Kiedy skończył, podał mi kartkę i zacząłem czytać: zdumienie moje nie miało granic! Było tam wszystko: i głód, i bezrobocie, i choroba matki, a wszystko napisane właśnie -tak, jak trzeba, tak szczerze i przekonywająco, że nawet ja, który wiedziałem, że to wszystko bujda, byłem po prostu wzruszony. A przede wszystkim Stefanini z kunsztem prawdziwego pi- - sarza posługiwał się słowami; "mamusia", w zwrotach: "moja najukochańsza mamusia", albo "moja nieszczęśliwa mamusia", wiedząc dobrze, że słowo to trafia prosto do serca każdego człowieka. Poza tym doskonale zrozumiał ów trik z drobiazgiem artystycznym i cała część listu dotycząca

tej sprawy to był po prostu klejnocik, nic nie było powiedziane wprost, a Wszystko rozumiało się samo przez się, jednym słowem, haczyk zarzucony był tak, że ryba ani się spostrzeże, jak go połk-, nie. Powiedziałem mu, całkiem zresztą szczerzej że ten list to po prostu arcydzieło; pochlebiło mu to najwidoczniej, bo roześmiał się, po czym przy^ znał, że istotnie dobrze jest napisany; tak dobrze nawet, że chciałby zachować go na pamiątkę,\i poprosił o pozwolenie przepisania go. Przepisał lis% a potem ja, jako rewanż, zapłaciłem rachunek i rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie.

Kilka dni później postanowiłem zrobić użytek z listu; podczas rozmowy w knajpie Stefaninfc wymienił nazwisko człowieka, który jego zdaniem niechybnie połknąłby haczyk: nie jaki Zampichelli, adwokat, któremu właśnie rok temu umarła matka. Owa strata – także inforg mac je Stefaniniego – tak nim wstrząsnęła, że zajął się dobroczynnością, pomagając, ilekroć nadarzyła mu się okazja, ludziom będącym w. potrzebie. Jednym słowem, był to właśnie człowiek* jakiego szukałem, bo list Stefaniniego, choć przekonujący i wzruszający, najlepiej mógł zrozumieć, ktoś dotknięty osobiście stratą kogoś bliskiego, Tak więc pewnego pięknego dnia wziąłem list i artystyczną drobnostkę: połączanego lewka z brązu, z łapą opartą o kulę ze sztucznego mar* muru, poszedłem do adwokata i zadzwoniłem do jego tjrzwi. Mieszkał w dzielnicy Prati, w willi położonej

w głębi starego ogrodu. Otworzyła mi pokojówka, a ja powiedziałem jednym tchem: – Ten drobiazg i list proszę doręczyć mecenasowi i powiedzieć mu, że to pilna sprawa i że przyjdę jeszcze- raz- za godzinę. – Wręczyłem jej kopertę i figurkę, po czym odszedłem. Godzinę ^oczekiwania spędziłem spacerując po prostych, pustych ulicach dzielnicy Prati, powtarzając sobie w duchu, co mam powiedzieć, kiedy stanę przed adwokatem. Po godzinie wróciłem do willi i zadzwoniłem znowu.

Byłem przygotowany na spotkanie .młodego mężczyzny w moim wieku, a tymczasem zobaczyłem człowieka około pięćdziesiątki, o twarzy nabrzmiałej, krwistej. Był łysy, oczy miał zażawione, przypominał psa rasy Sw. Bernarda. Pomyślałem, że matka jego musiała mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, i rzeczywiście na biurku stała fotografia bardzo starej kobiety o siwych włosach i pomarszczonej twarzy. Adwokat siedział za stołem pełnym akt, ubrany był w jedwabny, pasiasty szlafrok z szalowym kołnierzem; miał długą brodę. Gabinet był duży, pełen książek, piętrzących się aż do sufitu, obrazów, rzeźb, starej broni, wazonów z kwiatami. Adwokat przyjął mnie jak klienta i od razu poprosił uprzejmie, abym usiadł. Potem ścisnął rękami skronie, jak gdyby się chciał skupić, i powiedział: – Otrzymałem pański list... bardzo wzruszający...

Z wdzięcznością pomyślałem o Stefaninim i odr. powiedziałem: – Panie mecenasie, ten list jest

po prostu szczerzy... i dlatego wzrusza... słowa płynęły mi prosto z serca...

–Ale dlaczego zwrócił się pan właśnie do mnie?

–Powiem panu prawdę, panie mecenasiej! wiem, że poniósł pan ciężką stratę – adwokat słuchał mnie z przymkniętymi oczyma – i pomyślałem sobie: “Człowiek, który tak boleśnie odczuł Stratę matki, zrozumie rozpacz syna patrzące-^ go na matkę gasnącą z dnia na dzień, że tak powiem, w jego oczach i nie mogącego przyjść jej z pomocą”.

Na te słowa, które wypowiedziałem z przejęciem, bo sam zaczynałem się wzruszać, adwokat przytaknął kilkakrotnie głową, jakby chciał dać do poznania, że rozumie mnie, po czym podnosząc oczy zapytał: – Jest pan bez pracy?

Odpowiedziałem: – Bez pracy? To mało powiedzieć, panie mecenasie, jestem wręcz zrozpaczony... to istna gehenna...- chodziłem od biura do biura, od dwu lat tak chodzę i nic nie mogę znaleźć... Panie mecenasie, sam już nie wiem, co mam robić.

Mówiłem z uniesieniem. Adwokat znowu ujął głowę w dłonie i zapytał:

–A co jest pana matce?

–Panie mecenasie, ta choroba tkwi tutaj – powiedziałem | żeby Wywrzeć większe wrażenie, wykrzywiłem boleśnie twarz i wskazałem palcem na serce. On westchnął i rzekł: – A ta figurka, ten brąz? – Przewidziałem to pytanie i odpowie

działem szybko: – Pandę mecenasie, jesteśmy biedni, znajdujemy się w skrajnej nędzy, ale nie zawsze tak było, niegdyś byliśmy zamożni, można powiedzieć... tatuś...

– Tatuś?

Zdziwiłem się i zapytałem: – Tak, a bo co? Czy saę tak nie mówi? – Tak – odpowiedział ściskając skronie. – Mówi się właśnie tatuś. Niech pan mówi dalej. _

– Tatuś miał sklep bławatny, niczego w domu nie brakło, panie mecenasie, ale musieliśmy wyprzedać wszystko po kolei i ten brąz to ostatnia rzecz, 'jaka nam pozostała; stał na biurku tatusia.

– Tatusia?

Zmieszałem się znowu i tym razem, sam nie wiem dlaczego, poprawiłem się: – Tak, mego ojca, .jednym słowem, jest to ostatnia rzecz przedstawiająca jakąś wartość, i pragnąłbym, aby pan zatrzymał ją^ jako dowód mojej wdzięczności za to, co będzie pan mógł dla mnie zrobić.

– Tak, tak, tak – trzykrotnie powtórzył adwokat, ciągle ściskając głowę w dłoniach, jakby chciał mi okazać, że wszystko rozumie. Potem dłuższy czas siedział w milczeniu, ze spuszczoną głową. Na koniec otrząsnął się i zapytał:

– Dlaczego właściwie używa pan tych zdrobnień: tatuś, mamusia?

Nie oczekiwałem tego pytania i sam nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. – Przepież tak się mówi– dzieci zawsze tak mówią i także potem

jako dorośli w ten sam sposób zwracają się do rodziców... dopóki rodzice żyją...

– Wiem o tym – krzyknął adwokat uderzając pięścią w stół – ale ja nienawidzę tych zdrobnień, słyszy pan: nienawidzę!

Wyjąkałem: – Ale cóż ja na to mogę poradzić, panie mecenasie!

– Wiem – odpowiedział – ściskając znowu skronie w dłoniach – wiem, że się tak /mówi, ale mnie to drażni.

Tym razem milczałem, nie wiedząc, co mam mówić. Wreszcie po dłuższym milczeniu zaryzykowałem: – Panie mecenasie, rozutniem, że po stracie, jaką pan poniósł, drażni pana samo słowo mamusia, ale powinien pan mieć trochę zrozumienia dla mnie... każdy z nas ma ma... chciałem powiedzieć matkę.

A on odrzekł: – Tak, każdy z nas.

Znowu milczenie, potem adwokat wziął ze stołu tnoiego lwa i podał mi go mówiąc: – Proszę, panie Lopresto, niech pan to zabierze.

Wziąłem figurkę i wstałem. On wyjął z kieszeni portfel, wyciągnął tysiąc lirów i podając mi je powiedział: – Wygląda pan-na przyzwoitego chłopca, powinien pan spróbować wziąć saę do pracy. W przeciwnym razie niedługo skończy pan w więzieniu. Panie Lopresto, oto tysiąc lirów. .

Półprzytomny, odebrałem tysiąc lirów i skierowałem się ku drzwiom. On odprowadził mnie i zapytał na progu: – A propos, panie Lopresto, cay ma pan brata?

– Nie, panie mecenasie.

– A jednak dwa dni temu był u mnie ktoś z listem identycznym jak pański. Chora matka, wszystko to samo, a także figurka z brązu, tylko inna: orzeł zamiast lwa. Ponieważ przyniósł identyczny list, myślałem, że to był brat pana.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać: – Młody, niski, brunet o żywych oczach?

– Wszystko się, zgadza, panie Lopresto.

Na te słowa jak oparzony wybiegłem z gabinetu i znalazłem się w ogrodzie, osłupiały, przyciskając do piersi lewka ze sztucznego brązu.

Czy zrozumieliście? Stefanini ubiegł mnie posługując się listem według moich wskazówek. I poszedł do tej samej osoby! Pbwiem prawdę, że oburzenie moje nie miało granic. To, że biedak, wykolejeniec taki jak ja mógł zużytkować ów list, to jeszcze uchodziło. Ale żeby porwał się na to Stefanini, poeta, pisarz, dziennikarz – nawet jeżeli mu się nie poszczęściło – który przeczytał tyle książek, który znał nawet francuski, to było trochę za wiele! Do diabła, jeżeli się ktoś nazywa Stefianini, nie robi się pewnych rzeczy. Ale pomyślałem sobie, że także próżność odegrała tu rolę. Oto co musiało przyjść do głowy Stefani- niemu: "To piękny list, szkoda by go było zmarnować" – i wtedy poszedł do adwokata Zam- pichelli.

Przełożyła Zofia Ernstowa

Chiński pies
(Il cane cinese)

Tej zimy sam już nie wiedziałem, jak zarobić na życie, i przyszło mi do głowy, żeby zostać hyclem. Jednakże nie z ramienia magistratu, który likwiduje złapane psy, ale na własną rękę. Chodziłem do najelegantszych dzielnic miasta, rankiem, kiedy pokojówki wyprowadzają psy na spacer; w kieszeni miałem linkę z pętlą. Skoro tylko zobaczyłem, że jakaś służąca wychodzi z bramy, szedłem za nią krok w krok, w pewnej odległości. Jak wiadomo, służące mają niewiele rozrywek, toteż wykorzystują każde wyjście na ulicę, żeby spotkać się przy okazji z koleżanką albo narzeczonym. Kiedy widziałem, że służąca zajęta jest czymś innym, podchodziłem do psa i zarzucałem mu pętlę na szyję. Potem największa trudność polegała na tym, żeby dostać się do domu, a mieszkałem aż w Tormarancio. Częściowo odbywałem drogę piechotą, do Garbatella dojeżdżałem taksówką, bo mam kilku znajomych szoferów w tamtych okolicach, po czym łapałem jakąś ciężarówkę i docierałem do domu. Do domu! Śmiechu warte. Raczej do kąta, który wynajmo-

wałem wraz z pryczą od pewnego robotnika, Bonifaziego, mojego przyjaciela. On wraz z żoną i trojgiem dzieci sypiał w tej samej izbie, tak więc w nocy cała podłoga zasłana była materacami, i kiedy chciało się wyjść na dwór, wówczas ktoś musiał wstawać i zwijać swoje legowisko. Psa zostawiałem Bonifaziemu, który wiedział, jakie jest moje zajęcie, a sam wracałem następnego dnia do miasta i szedłem do kamienicy, z której wyszła pokojówka. Mówiłem portierowi, że znalazłem psa takiego a takiego. Natychmiast wzywano mnie na górę, zapraszano do mieszkania pełnego luster i marmurów, i prawie że noszono mnie na rękach z wdzięczności. Nazajutrz przyprowadzałem psa, otrzymywałem nagrodę i znowu zaczynałem od początku.

. Pewnego dnia – tak samo jak zwykle – na pętlę złapałem cudacznie wyglądającego psa. Nigdy dotąd takiego nie widziałem. Przypominał lwa: miał dużą, kulistą, kędzierzawą głowę, tułów porośnięty krótką sierścią, szeroki pysk i fioletowy prawie czarny język. Był łagodny, ociężały, a nawet smutny i jakby zamyślony; poszedł za mną pokornie, ze spuszczoneym łbem, jak gdyby przeczuwał już to, co go miało spotkać. Tego dnia padał deszcz, miałem na sobie tylko wytartą marynarkę i trykotową koszulkę, a na nogach dziurawe buty. Przemokłem tak, że jadąc ciężarówką szczękałem zębami, a kiedy poruszałem palcami w butach, czułem, że wyciskam wodę ze skarpetek. Na domiar złego w Tormarancio, które

położone jest w dolinie, deszcz pozalewał domy i w mieszkaniu Bonifazich zamiast ciepłego kąta zastałem istną powódź; żona Bonifaziego lamentowała, dzieciaki płakały, a mój przyjaciel układał deska na zalanej podłodze. Poszedłem spać bez kolacji, a w nocy dostałem gorączki. Następnego dnia nie wstałem z łóżka. Leżałem na pryczy, w kącie; nade mną wisiały na sznurach moje łachy. Pograżony w malignie, patrzyłem na pokój, w którym także rozwieszono były sznury, zawalane łachmanami rodziny Bonifazich; na podłodze widziałem czarne, poruszające się punkciki, były to karaluchy, które wypełzały po każdym deszczu ze szczelin przegniłych murów. Żona Bonifaziego gotowała w przyległej izbie, byłem więc sam, co zresztą nie było mi przykre, bo nie lubię rozmawiać z nikim podczas choroby, myślę

wielu rzeczach i nie odzywam się ani słowem. Pies zachowywał się bardzo grzecznie; ja, bojąc się, żeby nie przeziębził się od wilgoci, zrobiłem mu postanie ze szmat i wiórek pod moją pryczą

co chwila wyciągałem rękę głaszcząc go po głowie. Miałem wysoką temperaturę, 'drżałem jak w febrze, ale mimo to nie zapomniałem o psie i raz po raz dawałem pieniądze żonie Bonifaziego, żeby kupowała dla niego jedzenie; i to bynajmniej nie z myślą o spodziewanym wynagrodzeniu, ale po prostu dlatego, że lubię psy. W siódmym dniu choroby zacząłem majaczyć i prześladowała mnie myśl, że chcą mi zabrać psa. Poprosiłem Bonifaziego, żeby położył go ko

ło mnie na pryczy, objąłem psisko ramieniem i wtuliłem twarz w jego puszyste futerko. Zasnąłem trzymając go w objęciach, a pies ani drgnął. W nocy, może właśnie na skutek ciepła jego futra, spociłem się, tak, że byłem cały mokry, i natychmiast odczułem ulgę, a rano nie miałem już gorączki. Pies leżał przy mnie bez ruchu przez całą noc, a kiedy zmżyłem się, czułem na twarzy jego oddech. Kilka dni przesiedziałem jeszcze w domu; wypogodziło się pozez ten czas i pewnego dnia wyszedłem z psem, uwiązany, na linie, przespacerować się po Tormarancio. Za Tormarancio stoi kilka baraków, jeszcze uboższych niż domki w samym osiedlu, można więc sobie wyobrazić, jaki żałosny jest ich widok. Ścianki sklecone ze starych karnistrów po benzynie, dachy z blaszanych karbowanych płyt, drzwi tak niskie, że przechodząc przez nie trzeba się pochylić; dokoła rosną krzaki bukszpanu. Jeden z owych baraków zajmował pewien Chińczyk, który handlował krawatami. Przyplątał się kiedyś w te strony i pozostał już na stałe. Mieszkał z kobietą imieniem Fesseria, o której wszyscy wiedzieli, jaki uprawia proceder; Była ona wysoka, smukła, tak blada, że aż przezroczysta. Twarz miała pociągłą, szerokie łuki brwi nad czarnymi oczami, włosy ciemne, gęste, miękkie jak jedwab. Kiedy podmalowała nieco usta, była prawie piękna. A Chińczyk jak to Chińczyk. Był niski i krępy, patrząc na niego z tyłu można było wziąć go za Włocha, dopiero kiedy się odwrócił,

poznawało się, że to Chińczyk. Spacerując z psem, znalazłem się koło jego baraku. Obydwoje wyszli zaraz z domu, ona z wiadrem pomyj, które wylała mi prawie pod nogi, a on z garnkiem w ręku, bo stale coś gotował. Chińczyk podszedł do mnie i przemówił dość płynnie po włosku: – To jest pies z mojego kraju. To jest chiński pies. – Dodał jeszcze, że te psy są w Chinach tak pospolite jak u nas kundle, że chętnie wzięłyby tego psz?*i że bardzo mu na tym zależy, bo przypomi-a na mu on jego ojczyznę. Nie mógł mi jednak dać w zamian nic innego, jak tylko kilka krawatów* a mnie były potrzebne pieniądze, a nie krawaty, FesSeria, z wiadrem w ręku, zawołała: – No co, Luigi? Nie dasz psa? – Zalotna i wesoła, biegła do studni migając długimi, szczupłymi nogami; Byłem jeszcze bardzo osłabiony po chorobie, ale wzbudził we mnie pożądanie' widok tej bladej,, smukłej dziewczyny o czarnych, silnie zarysowanych brwiach. Nic jednak nie odpowiedziałem i wróciłem do Bonifazich. Następnego ranka pojechałem do Rzymu i zaszedłem do kamienicy, z której wyszła służąca z psem. Ale szczęście mi nie dopisywało. – Mieszkali tu Amerykanie – poinformowała mnie dozorczyńni – ale właśnie wczoraj wyjechali... co się* tu nie działo przez tego psa... ale musieli już wyjechać i wyjechali. – Tak więc zostałem właścicielem rasowego psa i sam nie wiedziałem, co mam z nim począć. 'Najpierw próbowałem go sprzedać, ale nikt nie chciał go . ode mnie kupić: :

Ludzie spoglądali na moje łachmany i mówili, że na pewno pies jest skradziony, co zresztą zgodne było z prawdą. Do hycła nie miałem serca go zaprowadzić, bo wiedziałem, że uśmierciliby biedną psinę, a mnie wryła się w pamięć owa noc, kiedy pies przyczynił się do mego wyzdrowienia i leżał bez ruchu, grzejąc mnie swoim futerkiem. Jednakże jego utrzymanie drogo mnie kosztowało, był to duży pies i trzeba było dobrze go karmić.

Kilka dni później, po południu, zamiast jechać do miasta, poszedłem na spacer za Tormarancio. Słońce mocno prażyło i nad osiedlem, które wyglądało przedtem jak trzęsawisko, wzbijały się tumany kurzu. Wdrapałem się na jeden z okolicznych pagórków. Była już wiosna; ciepło, pogodnie, na niebie ani jednej chmurki. Świeciło słońce i nawet niskie, podłużne, o rdzawych dachach domki Tormarancio, na które patrzyłem ze wzgórza, wydały mi się ładniejsze niż zazwyczaj. Pagórki pokryte były delikatną trawą, soczystą i zieloną, miało się wrażenie, że tu i ówdzie leżą jeszcze płatki śniegu: były to kępy gęsto rosnących stokrotek. Szedłem przed siebie, ze wzgórza na wzgórze, pogwizdując i trzymając ręce w kieszeniach. Czułem się dobrze po przebytej chorobie i kiedy spoglądałem na zalany słońcem horyzont i na latające parami białe motyle, w moje serce wstępowała nadzieja na lepszą przyszłość. Pies także ogromnie się ożywił, co nie zdarzało mu się prawie nigdy, i biegł przede mną. Potem zwracał i szczekał. Ale ruchy jego były niezdar-

ne i ociężałe, bo usposobienie miał melancholijne. Zszedłem w dolinę i przystanąłem koło strumyka, płynącego między dwoma pagórkami.. - Usłyszałem w pewnej chwili szczekanie psa, obejrzałem się i zobaczyłem Fesserię, która także wybrała się na samotny spacer. Włosy miała rozpuszczone, trzymała w zębach źdźbło trawy. Za- | trzymała się i pochyliła, żeby pogłaskać psa, i po- ^ | S wiedziała śmiejąc się: – No co, dasz mi tego psa? – Odpowiedziałem jej bez chwili namysłu: – Dam ci, ale pod jednym warunkiem.

Oddała mi się na ziemi między wzgórzami^ koło strumyka. Pies tymczasem chleptał -wodę ze strumienia swoim fioletowym ozorkiem, po czym usiadł opodal na trawie i nie ruszał się z miejsca, wpatrując się w nas tak, że aż mnie to krępowało. Zrobiłem ową zamianę nie tylko dlatego^ że pożądałem tej kobiety, ale także sprawiało mi przyjemność ofiarowanie tego psa za odrobinę miłości. Przywiązałem się bowiem do niego i wydawało mi się, że taka cena odpowiada jego war- & tości. Wstaliśmy na koniec i Fesseria wzięła do ręki linkę mówiąc: – Jak on się ucieszy, przypomni mu się jego kraj rodzinny. – Ja zostałem i patrząc na nią, oddalającą się z psem, odczuwałem zadowolenie.

Następnego ranka pojechałem do miasta i zostałem tam na noc razem z jamnikiem, którego złapałem w okolicach piazza Santiago del Chile. Spałem w domu noclegowym, po czym wróciłem do Tormarancio. Niedługo potem poszedłem z jam-

nikiem na spacer i sam nie wiem, jak się to stało, ale znalazłem się przed barakiem Chińczyka.

Fesserii nie było w domu, musiała zapewne wyjechać do Rzymu, ale jego zastałem. Wyszedł* właśnie z kubłem ze śmieciami, które wyrzucił za barak. Trudno mi było uświadomić sobie dlaczego, ale chciałem, żeby mi podziękował za psa, zapytałem więc, co się z nim dzieje. Chińczyk uśmiechnął się, zrobił ręką gest, którego nie rozumiałem, i wrócił do baraku. Jamnik grzebał w śmietniku, poszedłem po niego i wtedy, w stosie papierów i odpadków,, zobaczyłem pokrwawioną, pokrytą rudą sierścią łapę psa.

Wytłumaczono mi później, że w Chinach ludzie jedzą psy i nie jest to uważane za coś złego, bo taki jest tam obyczaj, Ale w tym momencie krew uderzyła mi do głowy i wpadłem do baraku. Chińczyk stał odwrócony plecami, mieszając coś przy kuchni. Odwrócił się uśmiechnięty, trzymał w ręku talerz, na którym leżał kawałek ciemnego mięsa w sosie. Zrozumiałem, że to mięso psa i że on częstuje mnie, żebym spróbował. Jednym uderzeniem pięści podbiłem talerz, który znalazł się na jego twarzy, i ryknąłem: – Łajdaku! Zbrodniarzu! Co zrobiłeś z psem? – Iw jednej chwili zdałem sobie sprawę, że on nie ma pojęcia, o co mi chodzi. Zaczął uciekać, wybiegł 1 baraku 1 co sił w nogach popędził w kierunku Tormarancio. Rzuciłem za nim kamieniem, po czym dopadłem go i chwyciłem za kołnierz. Ludzie powychodzili z domów, a on, pomazany sosem, ogłu-

piaty, powtarzał: – Trzymajcie go! Zwariował! – A ja potrząsałem nim i wrzeszczałem tak, że brakło mi tchu: – Co zrobiłeś z psem, zbrodniarzu?! Co zrobiłeś z psem?! – Rozdzielono nas w końcu i Bonifazi wsadził mnie na ciężarówkę jadącą do \ Rzymu.

Zaprowadziłem jamnika do jego właścicieli i jeszcze tego samego dnia otrzymałem wynagrodzenie. Ale nie wróciłem już do Tormarancio. Nie miałem nic, niczego więc nie zostawiłem w mieszkaniu Bonifazich. Byłem im winien natomiast za miesiąc komornego i pomyślałem sobie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Historia z chińskim psem obrzydziła mi raz na zawsze moje dotychczasowe zajęcie i postanowiłem wziąć się do innej pracy. Zacząłem handlować i chodziłem po ulicach z wózkiem pełnym towarami. Sprzedawałem oliwki, pestki z dyni, kasztany, fistaszki, suszone figi, orzechy. Kleiłem przez cały dzień torebki przy nowym moście koło Foro di Gianicolo i jakoś wiązałem koniec z końcem. Nadal jednak byłem przygnębiony i mnie nie cieszyło, może z powodu owego psa. Tylko jeden raz zobaczyłem z daleka Fesserię, ale nie rozmawiałem z nią: gdyby mi powiedziała, że i ona jadła mięso psa, przypuszczam, że byłbym ją zabił.

Przełożyła Zofia Ernst owa

Pośrednik
(II mtdlołort)

Wchodząc schodami pałacu Antonio, majordomus, uprzedził mnie; – Nie łudź się, że zarobisz dużo na księżnej, bo skąpa jest niewiarygodnie.-. od czasu jak umarł jej mąż, ogarnęła ją mania zajmowania się administracją i nie daje już zarobić nikomu.

– Przecież nie jest stara.

– Ona? Stara? Jest młoda i śliczna. Będzie miała może dwadzieścia pięć lat, a może i mniej– wygląda jak anioł... tak, tak, pozory mylą

– No cóż – odpowiedziałem – może nawet być diabłem, ale ja chcę tylko to, co mi się należy... jestem pośrednikiem, księżna ma mieszkanie, które chce sprzedać, ja je sprzedaję, biorę procent 1 rączki całuję.

– Ho, ho, to nie takie proste, wymagluje cię do siódmych potów, poczekaj, pójdę ją uprzedzić.

Zostawił mnie w przedpokoju i poszedł zawiadomić księżnę, którą, jak gdyby była mężczyzną, nazywał ekscelencją. Czekałem dłuższy czas w tym lodowato zimnym przedpokoju, typowym dla starego pałacu, ze ścianami pokrytymi arrasami

I z freskami na suficie. Antonio zjawił się wreszcie przynosząc wiadomość, że jej ekscelencja czeka na mnie. Przeszliśmy przez amfiladę salonów, a potem w salonie większym od pozostałych, w niszy jednego z okien, zobaczyłem ją siedzącą za biurkiem, zajęta pisaniem. Antonio zbliżył się do niej z szacunkiem, mówiąc: – Ekscelencjo, oto pan Proietti. – Zbliźcie się, Proietti – odpowiedziała nie unosząc oczu. Kiedy znalazłem się koło niej, mogłem srę jej przyjrzeć" swobodnie i od razu musiałem przyznać, że Antonio nie przesadził porównując ją do anioła. Miała twarz subtelną, białą, delikatną, miłą, czarne włosy i wspaniałe, długie czarne rzęsy, które rzucały cień na policzki. Nos, nieco zadarty, był szczupły, przezroczysty, przyzwyczajony jak gdyby do wężania wyłącznie perfum. Usta miała drobne, z górną wargą wydatniejszą, podobne do róży. Zacząłem przyglądać się jej osobie: "ubrana była na czarno, w obcisłym zakiecie, biodra i piersi miała szerokie, a talię jak osa, tak że można ją było objąć dwiema rękami'.. Pisała: ręka była biała, szczupła, wytworna, z diamentem na palcu wskazującym. Podniosła na mnie oczy i spostrzegłem, że były cudowne: ogromne, ciemne, aksamitne i łzawe zarazem. – No, to cóż, Proietti – powiedziała – chodźmy obejrzeć to mieszkanie.

Głos miała ciepły, łagodny. – Tak, proszę księżnej – wyjąkałem.

– Chodźcie tędy, Proietti – powiedziała biorąc duży żelazny klucz.

Przeszliśmy z powrotem przez te wszystkie salcmy, w przedpokoju powiedziała do Antonia, nadbiegającego, by otworzyć jej drzwi: – Antonio, powiedzcie tym tam, w kotłowni, żeby me dorzucali wo-ęcej węgla... można się tu udusić z gorąca.

–'Zdziwiłem się, w przedpokoju bowiem i we wszystkich innych pokojach panował mróz. Poszliśmy schodami, ona przodem, ja za nią, i podczas gdy szła przede mną, .mogłem zauważyć, że była też zbudowana wspaniale: wysoka, szczupła, nogi proste, a to czarne ubranie uwydatniało białosc karku i nęk. Przeszliśmy dwie kondygnacje schodów, a potem jeszcze dwie kondygnacje schodami służbowymi i wreszcie w głębi jakiegoś strychu znaleźliśmy kręte żelazne schodki, które prowadziły do tego mieszkania. Zaczęła się wspinać na te schodki, a ja trzymałem oczy «czone, wiedziałem .bowiem, że mógłbym zobaczyć jej nogi, a nie chciałem, szanowałem ją już jak -kobietę, którą f się kocha. Weszliśmy do mieszkania złożonego, jak *się od razu zorientowałem, z dwóch dużych pomieszczeń z podłogą kafelkową i oknami mansardowymi, otwierającymi się w górze, pod sufitem. Trzeci pokój, okrągły, wykrojony z wykuszu, wychodził oszklonymi drzwiami na balkon z poręczą, zawieszony nad wielkim dachem z brunatnej dachówki. Otworzyła oszklone drzwi i wyszła na balkon mówiąc: – Chodźcie, Proietti, popatrzcie, co za panorama. – Rzeczywiście, widok był piękny: z tego balkonu widać było cały Rzym, z daehami, kopułami, dzwonnami

cami. Dzień był pogodny i w głębi błękitnego nieba. między jednym dachem a drugim, można też było dojrzeć kulę na Świętym Piotrze. Patrzyłem oszołomiony na panoramę, ale w rzeczywistości prawie jej nie widziałem i myślałem tylko o księżnej jak o czymś, co mnie dręczyło i czego nie mogłem zapomnieć. Ona tymczasem weszła z powrotem, a ja odwróciłem się i zapytałem mechanicznie: – A reszta urządzeń?

– Mówicie o łazience?... Proszę. – Podeszła do małych drzwiczek, których przedtem nie zauważyłem, i pokazała mi pokój bez okna, niski*; prostokątny, w którym urządziła łazienkę.. Na pierwszy rzut oka mogłem się zorientować, że porcelany były tandetne, takie jak w blokach mieszkalnych na peryferiach. Zamknęła drzwiczki łazienki i stanąwszy na środku pokoju, z rękoma w kieszeniach żakietu, zapytała: – No ł cóż, Proietti, jak sądzicie, ile możemy zażądać?

Tak byłem zaabsorbowany jej urodą i tak podniecony faktem, że znajduję się z nią sam na tym poddaszu, iż przez chwilę nic. nie odpowiedziałem przyglądając się jej. Możliwe, że zdała sobie sprawę z tego, co się działo w mojej głowie, bo tupiąc drobną, nerwową nogą, dodała: – Czy można wiedzieć, o czym myślicie? Odpowiedziałem pośpiesznie: – Obliczałem.* trzy izby... ale nie ma windy, i kto kupuje, będzie musiał przeprowadzić roboty... powiedzmy, trzy i pół miliona. – Ależ, Proietti! – krzyknęła, natychmiast

- podnosząc głos. – Proietti, ja chciałam zażądać siedem milionów!

Klnę się na wszystko: w pierwszej chwili zupeł- l ' nie zgłupiałem. To połączenie urody i interesowności było rozbrajające. Wyjąkałem wreszcie: –

ŁZa siedem milionów, księżno, nikt tego od księżnej nie weźmie.

– Ale to nie Parioli*... to pałac zabytkowy... to l jest centrum Rzymu.

Dyskutowaliśmy tak przez dłuższy czas, ona wyprostowana pośrodku pokoju, a ja w należytej odległości, by nie dać się zwieść pokusie.' Mówi- i lem i mówiłem, ale w rzeczywistości myślałem tylko o niej i pożerałem ją oczami. W końcu, bardzo niechętnie, dała się namówić na cztery miliony, co było już sumą wygórowaną. I rzeczywiście, jeśli obliczyć na milion roboty, które trzeba było jeszcze przeprowadzić, dodając jeszcze podatki i temu podobne, mieszkanie kosztowałoby Ł kupującego blisko sześć milionów. Miałem już klienta, powiedziałem jej więc, że interes jest ubity, i poszedłem sobie

Następnego dnia zgłosiłem się w pałacu z pew- nym młodym architektem, który szukał właśnie V czegoś . malowniczego i niezwykłego. Księżna wzięła swój klucz i pokazała nam mieszkanie. Architekt targował się trochę o cenę, w końcu

jednak zaakceptował sumę już ustaloną: cztery miliony..

Ale następnego rana, wcześniej, nie była nawet jeszcze ósma, żona mnie obudziła mówiąc, że księżna jest przy telefonie. Ze snu prawie nie widziałem na oczy, niemniej jej głos, łagodny i delikatny, wydał mi się muzyką, kiedy do mnie | mówiła. Słuchałem tej muzyki w pidżamie, podczas gdy moja żona uklękała, by włożyć jff 'mi pantofle, a potem narzuciła mi palto na ramiona. Rozumiałem niewiele, a właściwie nic, ale wśród tylu słów dwa nagle mnie uderzyły: t "Pięć milionów..."

Od razu powiedziałem: – Zobowiązaliśmy się na A cztery miliony, proszę. księżnej, nie możemy się wycofywać.

– W interesach nie ma zobowiązań... albo pięć / milionów, albo nic.

– Ależ, księżno, ten nam ucieknie.

– Nie udawajcie durnia, Proietti, pięć milionów albo nic. '

Słowo dureń wypowiedziane tym głosem nie wydało mi się ani ordynarne, ani obraźliwe, prawie jak komplement. Prawdę mówię/ Powiedziałem jej, że zrobię, jak sobie życzy, i natychmiast zatelefonowałem do klienta, by mu zakomunikować nowinę. Zaraz też usłyszałem, jak krzyknął na drugim końcu drutu: – Wy sobie nie urządźcie kawałów: milion więcej od wieczora do rana.

– Co ja panu poradzę, taka dyspozycja.

- No, zobaczę, pomyślę. ;
- To pan mnie zawiadomi?
- Tak, pomyślę, zobaczę.

Morał: więcej się nie pokazał. Zaczął się wtedy, że się tak wyrażę, okres najintymniejszy w moich stosunkach z księżną. Telefonowała do mnie przeciętnie trzy razy dziennie, a ja za każdym razem, kiedy żona wołała z ironią: – Oczywiście, księżna! – mieszałem się, jakby to był telefon miłosny. Tak, ładnie miłosny! Przywiązana była do pieniędzy w sposób niewiarogodny, zachłanna, skąpa, uparta, chyba bardziej od lichwiarza. Trzeba przyznać, że zamiast serca miała skarbonkę: widziała i myślała tylko o pieniądzach. Codziennie poza tym przez telefon wymyślała coś nowego, by podnieść cenę, nawet gdy chodziło o jakiś drobiazg, pięć czy dziesięć tysięcy lirów. Dziś to była łazienka, za którą należało doliczyć należność hydraulika, jutro widok, innego dnia fakt, że autobus zatrzymywał się przed samą bramą pałacu, i tak dalej. Ale ja stałem twardo przy cyfrze pięciu milionów, które sama przez ■ się była już ogromna, nie dziw więc, że nabywcy, zaledwie ją usłyszeli, nie pokazywali się więcej. _ Wreszcie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, znalazłem jej amatora: mediolańczyka, przemysłowca, który w tym mieszkaniu chciał ulokować swoją przyjaciółkę.

Był to człowiek rzutki i otrzaskany z rynkiem, znający też wartość pieniądza. W średnim wieku, wysoki, z długą ciemną twarzą i i ustami peł

nymi złotych zębów. Przyszedł obejrzyć mieszkanie, oglądał dokładnie wszystko, a potem bez ogródek oświadczył księżnej: – To jest gołębnik... W Mediolanie urządzilibyśmy tu pralnię... tak jest warte pięć milionów, jak ja jestem Turek... kiedy przeprowadzę niezbędne roboty, nowe podłogi, framugi, przebiję okna, zmienię to świństwo – i wskazał na porcelany w łazience – będzie mnie to kosztowało siedem albo osiem milionów... niezły będzie... prawa rynkowe regulują się popytem i podażą... spotkała pani człowieka, któremu to mieszkanie jest potrzebne... a więc pani ma rację.

Ale źle zrobił, że tak przemówił, szczerze i brudnie, jak prawdziwy kupiec. Skoro bowiem wyszedł, powiedziała mi zrozpaczona: – Proietti, zrobiliśmy potworny błąd

– Jaki?

– Że zażądaliśmy tylko pięć milionów, ten zapłaciłby nawet siedem.

– ■ Księżno – odpowiedziałem – obawiam się, że nie zrozumiała księżna, co to za typ: on jest nabity pieniędzmi, to prawda, może nawet kocha swoją przyjaciółkę, nie sprzecam się, ale nie zapłaci więcej niż właśnie tyle.

– Pan nie wie, co może zrobić mężczyzna dla kobiety, którą kocha – powiedziała ona patrząc na mnie tymi swoimi, cudownymi oczami, w których był tylko interes i pieniądz. Zmieszałem się i odpowiedziałem: – Być może, ale ja jestem przekonany, że jest inaczej. Dość, że następnego dnia mediolańczyk stawiał

się w pałacu ze swoim adwokatem, a księżna, zaledwieśmy usiedli, zaraz oświadczyła: – Panie Casiraghi, bardzo mi przykro... ale zastanowiwszy się nie mogę już oddać mieszkania za cenę wczoraj ustaloną.

– To znaczy? y – To znaczy, że trzeba będzie zapłacić sześć milionów.

Szkoda, że nie mogliście widzieć Casiraghiego, Podniósł się z zupełną swobodą i powiedział: – Księżno, mam honor i przyjemność pożegnać panią. – Skłonił się i poszedł. Jak tylko znikł, odezwałem się: – Widziała księżna? Kto miał rację? • Ona jednak, bynajmniej nie zbита z tropu: – Zobaczycie, że znajdziemy nabywcę także za sześć.

Miałem ochotę posłać ją do wszystkich diabłów, ale niestety byłem zakochany. Może właśnie dlatego, że byłem zakochany, nie zauważyłem, jak dziwny był nabywca, którego na pięć i pół miliona znalazłem jej po kilku dniach. Słyszac tę sumę, naprawdę wysoką, nie drgnął. Był to właściciel ziemski, młody człowiek, wielki i tęgi, podobny do niedźwiedzia, nazwiskiem PandolU. Od razu wydał mi się antypatyczny, jakby pod wpływem jakiegoś przeczucia. Skoro tylko go przedstawiłem księżnej, pojąłem natychmiast, dlaczego nie protestował słyszac cenę. Jak się okazało, mieli całą moc wspólnych przyjaciół. A poza tym on patrzył na nią w taki sposób, ie nie można było mieć wątpliwości. Obejrzeliśmy, jak zwykle, trzy pokoje i łazienkę, a potem ona otworzyła oszklone

drzwi i wyszła na balkon, bV mu pokazać panoramę. Ja zostałem w pokoju i mogłem ich obserwować. Oparli obie ręce na poręczy i zobaczyłem, jak jego dłoń zbliżyła się niby przypadkiem do jej dłoni, a potem nakryła ją. Zacząłem liczyć... powoli... i dołączyłem do dwudziestu. Dwadzieścia sekund ocierania się, zdawałoby się, nic, ale spró- bójcie je policzyć. Na "dwadzieścia" ona swobodnie wysunęła rękę i wróciła do pokoju. To, co powiedział, oznaczało w gruncie rzeczy, że mieszkanie mu odpowiada, i poszedł sobie. Zostaliśmy sami, a ona, bezczelna, powiedziała: – Widzicie, Proietti? Pięć i pół, ale wyciągniemy jeszcze więcej.

Następnego rana wróciłem do niej, czekała na mnie siedząc jak zwykle przy biurku w salonie? Powiedziała mi wesoło: – Wiecie, Proietti, co odkryłam wczoraj oglądając panoramę z tym waszym klientem?

Chciałem jej odpowiedzieć: "Że jest w pani zakochany" – ale się powstrzymałem. A ona ciągnęła dalej: – Odkryłam, że z boku widać cały. duży skrawek Parku Borghese. Proietti, ^ trzeba kuć żelazo, póki gorące... dzisiaj zażądamy od pana Pandolfiego sześciu i pół milio-na.

Słyszeliście? Wiedziała, że Pandolfi się w niej zakochał, i na tym chciała spekulować. Te dwa-, dzieścia sekund, przez które trzymał jej dłoń w swojej dłoni, teraz kazała mu opłacić okrągłym milionem, pięćdziesiąt tysięcy lirów- za sekundę. Co za apetyt! Zrozumiałem, że tym razem uzyska

żądaną sumę, i poczułem nagle wściekłość, zazdrość i niesmak zarazem. Dotychczas byłem pośrednikiem w interesie, a ona chciała, bym się stał pośrednikiem w miłosnych intrygach. Zanim zdałem sobie sprawę z tego, co mówię, rzekłem gwałtownie: – Księżno, jestem pośrednikiem, a nie stręczycielem –, i czerwony na twarzy wybiegłem. Usłyszałem, jak bynajmniej nie obrażona, mówiła: – Ależ, Proietti, co z wami? – Ostatni raz wtedy słyszałem ten jej łagodny głos.

Kilka miesięcy później spotkałem Antonia, ma- jordomusa, i zapytałem- go: – A księżna?

– Wychodzi za męża.

– Za kogo? Założyłbym się, że za tego Pandol- fiego, który kupił ten strych.

– Jaki tam Pandolfi... wychodzi za księcia z południa, starego ramola, mógłby być jej dziad- kiem, ale bogaty, mólyią, że jest właścicielem całej niemal Kalabrn.'.. co tu dużo gadać, woda spływa do morza.

– Wciąż taka ładna?

– Jak anioł.

Przełożył Ryszard LanćLau

Nieszczęśliwy człowiek
(Un uomo sfortunato)

Nieszczęścia prześladują mnie ustawicznie, i bez wątpienia w dniu, w którym przyszedłem na świat, musiała znajdować się na niebie jakaś nieprzychylna gwiazda czy inne złośliwe ciało niebieskie. Przypominam sobie, że znałem pewnego mechanika, który pracował niegdyś we Francji, a potem powrócił do kraju; on także uskarżał się zawsze, że nie ma szczęścia. Mechanik ten zwa- fefeał się z kilkoma młodzieńcami; wyjeżdżali razem nocą autem na miasto, przyczepiali łańcuch do żaluzji sklepowych,, puszczaali auto w ruch, żaluzja wyskakiwała z zawiasów, podjeżdżała do góry, a oni wchodzili do sklepu, i kradli. Otóż ów mechanik miał , wytatuowaną na piersi gilotynę, a nad nią napis: "Pas de chance", co po francusku znaczy: "Nie mam szczęścia". Kiedy poruszał mięskułami klatki piersiowej, wydawało się, że nóż gilotyny spada, a mechanik mówił, że taki właśnie będzie jego koniec. Powiedziawszy prawdę, nie skończył na gilotynie, dostał pięć lat więzienia. Teraz i ja powinienem mieć taki napis na piersi albo lepiej jeszcze – na czole: "Nie mani.

szczęścia". Wszyscy ludzie robią to samo, ©o ja, ale innym udaje się, a mnie nie. Jednym słowem, nie dopisuje mi szczęście, i jedno z dwojga: albo ktoś mi źle życzy, albo cały świat wziął się na mnie. '

Zawsze starałem się pracować uczciwie, nie bardziej uczciwie niż inni, oczywiście, ponieważ wszyscy przychodzimy na świat jako istoty niedoskonałe i doskonały jest tylko Bóg. Zacząłem od tego; że zaraz po ślubie uruchomiłem za pieniądze żony warsztat szewski. Wybrałem dzielnicę urzędniczą i postąpiłem roztropnie; urzędnicy, biedaczyska, mają obuwie w wielkim poszanowaniu: z racji swojego zawodu muszą przywoicie wyglądać w biurze i nie mogą chodzić jak my, ludzie prości, w podartych butach. Sklepek mój znajdował się w samym sercu owej dzielnicy urzędniczej, wśród ogromnych kamienic, z których każda liczy po tysiąc mieszkańców; na^ tej samej ulicy," naprzeciwko mnie, miał sklep inny szewc. Był to starowina, około siedemdziesiątki, i na wpół ślepy. Kiedy otworzyłem sklep, wpadł do mnie zaraz pierwszego dnia i "zrobił mi scenę; oczy miał jak puszczyk | taki był rozwścieczony, że żona kazała mi mieć się na baczności, bo obawiała się, że może rzucić na mnie urok. Nie usłuchałem jej i źle na tym wyszedłem. Z początku wszystko szło jak najlepiej: byłem pojętny, młody, sympatyczny, podśpiewywałem przy pracy, a dla pracownic domowych, które przynosiły do mnie obuwie swoich pracodawców,

miałem zawsze jakieś miłe słówko. W niedługim czasie sklepik mój stał się miejscem spotkań całej dzielnicy i szybko sprzątnąłem starym sprzed nosa klientelę. On po prostu wyłaził ze skóry, ale był bezradny, ja bowiem, żeby zrobić mu konkurencję, brałem niższe ceny. Miałem w tym 4 oczywiście swoje, wypracowanie i kiedy wydało mi się, że trzymam już mocno w garści klientelę, zastosowałem ową metodę. Początkowo połowicznie: jednemu klientowi dawałem zółwki skórzane, drugiemu z imitacji skóry. Potem widząc, że nikt się nie połapał, zacząłem przybijać wszystkim tekturowe zółwki. Nie była to właściwie tektura, ale syntetyczny prefabrykat,¹ produkowany w czasie wojny, przysięgam, że był on nawet ciut, ciut mocniejszy od skóry. I tak pracując gorliwie, zawsze uprzejmy, zawsze w pogodnym usposobieniu, zacząłem -zarabiać całkiem nieźle. Lubili mnie wszyscy z wyjątkiem starego szewca, oczywiście, i w tym czasie przyszedł na świat mój pierwszy syn. Niestety, sam nie wiem, jak się to stało, może z powodu niepogody, odpadły zółwki od jednej pary butów oddanych do mnie do reperacji. Klient przyszedł do sklepu z pretensjami; dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie zaczęły się rozlatywać wszystkie żelowane przeze mnie buty. A wiadomo, jak to bywa w podobnych wypadkach: jeden powtórzył drugiemu, plotka obiegła całą dzielnicę i nikt się już u mnie nie pokazał, wrócili do starego. On drwił sobie teraz ze mnie za szybką swojego skle-

piku, zajęty od rana do wieczora wbijaniem gwoździ.

Na próżno tłumaczyłem, że nabrał mnie hurtownik, że to nie moja wina, nie uwierzył mi nikt. W końcu znalazłem kogoś, kto odkupił ode mnie sklep, wziąłem tych parę groszy i wyprowadziłem się.

Zrozumiałem, że byłoby bezsensowne obstawać przy zawodzie szewca, i postanowiłem zmienić pracę. Jako młody chłopak pracowałem u hydraulika i przyszło mi do głowy, żeby założyć Warsztat hydrauliczno-blaharski. Tym razem także z rozważą przystąpiłem do rzeczy: wybrałem dzielnicę w śródmieściu, dzielnicę starych kamienic, w których rury zżarte są przez rdzę, a wszelkie instalacje, można powiedzieć, przedpotopowe. Lokal, istną mysią dziurę, znalazłem przy ulicy wilgotnej, bez promyka słońca, między składem węgla a pralnią. Zakupiłem narzędzia, kilka ołowianych rur, kilka kranów, parę umywalni, i zamówiłem drukowaną tabliczkę z napisem: "Zakład hydraUliczno-blaharski. Przyjmuje się zamówienia do domów – kosztorysy na żądanie"* , Od razu wszystko poszło mi jak z płatka: zima była mroźna, spadł nawet śnieg i trudno by zliczyć rury, które popękały w tych starych ruderach. Poza tym wśród hydraulików rzadko kiedy spotyka się dobrych fachowców, i kiedy psi?}e się piecyk gazowy czy ekspres do kawy, ludzie naprzykrzają się hydraulikowi jak samemu Panu Bogu. Skoro woda przestaje lecieć z kranów albo

dla odmiany zalewa łazienką, wtedy nawet osoby dobrze sytuowane kompletnie tracą głowę: telefonują, napraszają się, błagają, a kiedy przychodzi, do rozliczenia, płacą bez zmrżenia oka. Na skutek czego wszyscy hydraulicy mają przewrócone w głowie. Hydraulik jest niezastąpiony i biada temu, kto ośmieliłby się mu uchybić. Jak już wspomniałem, wszystko zaczęło mi iść jak z płatka. Sklepik był wprawdzie niewielki, ciemny, na wystawie leżało tylko kilkanaście kranów, ale wielu klientów wzywało do domów i w krótkim czasie miałem ręce pełne roboty przez cały boży dzień. Tym razem wszystko ułożyłoby się jak najlepiej, gdyby nie to, że inny hydraulik otworzył naprzeciwko mnie sklep. Był to młody blondyn, niski, małomówny; miał tak krótką szyję, że jego duża głowa wyglądała jak wciśnięta w ramiona. Zawział się, żeby odbić mi klientelę, a ponieważ robił wrażenie człowieka, który jest do wszystkiego zdolny, utwierdziłem się w przekonaniu, że osiągnie swój cel, jeżeli w porę czegoś nie wymyśli. Łamiąc sobie głowę wpadłem na doskonały pomysł, który nie tylko pozwolił mi utrzymać dotychczasowych klientów, ale nawet powiększyć ich liczbę. Przypuśćmy, że miałem zamontować piecyk gazowy. Przykręcając żabką nakrętkę zaciskałem także rurę na tyle, żeby to stare zardzewiałe żelastwo pękło w murze. W nocy woda zalewała mieszkanie, klient wzywał mnie, a ja rozbijałem ścianę i zmieniałem rurę, co wymagało dużego nakładu pracy. Ów system pozwo

lił mi stawić czoło konkurencji; co więcej: zaczęło mi się jeszcze lepiej powodzić. W tym samym czasie przyszedł na świat mój drugi syn; lżej odetchnąłem, tym razem uporałem się z prześladowającym mnie pechem. Ale nigdy nie należy cieszyć się przedwcześnie. Jedną z spowodowanych przeze mnie katastrof przybrała większe rozmiary, niż mógłbym się tego spodziewać. W piecyku gazowym nastąpił wybuch, od piecyka zajęła się szafa, po czym całe mieszkanie stanęło w ogniu. Niestety chciało, że ktoś podglądał mnie wtedy przy pracy, jak się później okazało, jakiś wyrostek zapalony do mechaniki. Trudno mi opisać, co przeszedłem, mało brakowało, a wylądowałbym w kryminale. I tym razem musiałem zlikwidować sklep i wynieść się z tej dzielnicy. • -

Uparłem się, żeby otworzyć sklep po raz trzeci. Obecnie niewiele mi już pozostało gotówki, a przy dwojgu dzieciach i trzecim w drodze trudno było rokować wielkiej nadzieje na przyszłość. Przeniosłem się na peryferie miasta, do dzielnicy robotniczej, położonej koło rzeźni miejskiej, i otworzyłem sklepik tapicerski. Tym razem był to pomysł żony, bo teść mój pracował jako tapicer. Kupiłem maszynę do szycia, kilka metalowych siatek, kilka łóżek polowych, parę bel materiału na pokrycie materaców, trochę włosia i wełny. Moja żona biedaczka, w ciąży, musiała szyc na maszynie, a ja zająłem się grubszą robotą, między innymi gręplowałem wełnę. Dzielnica była uboga i zamówienia wpływały bardzo rzadko. Zarobki

nie wystarczały na utrzymanie i powiedziałem żonie, że tym razem niełatwo będzie uporać się z przeciwnościami losu. Ale na wiosnę sytuacja poprawiła się. Biedacy także lubią czystość, niezamożne rodziny odejmują sobie chleb od gęby, byle tylko doprowadzić mieszkanie do jakiegoś takiego ładu. Tak więc na wiosnę wiele kobiet z tej dzielnicy przyniosło mi materace do przeróbki. ^ A wiadomo, jak to bywa: miesiąc temu nie wstał do mnie nawet pies z kulawą nogą, a miesiąc później nie wiedziałem, co mam naprzód robić. Ponieważ sam nie mogłem sobie dać rady, wziąłem do pomocy chłopaka. Był to siedemnastoletni wyrostek, przezywano go Negus, bo miał ciemną cerę i kędzierzawe włosy, jak władca Abisynii. Chodził po domach, przynosząc i odnosząc robotę, a ja siedziałem w sklepie. Ten Negus był istnym utrapieniem swojej matki, praczki; pewnego razu, kiedy wysłałem go po odbiór należności, nie wrócił do sklepu. Poszedł na mecz piłkarski, potem sam już nie wiem gdzie, dosyć na tym, że przepuścił wszystkie pieniądze, i miał jeszcze czelność przyjść do sklepu i powiedzieć, że skradziono mu portfel. Kiedy zwymyślałem go od złodziei, ubliżył mi, dałem mu więc po gębie i siłą wyrzuciłem ze sklepu. Owe zajście stało się przyczyną moich nowych nieszczęść. Ten łajdak obszedł całą dzielnicę opowiadając wszystkim po kolei, jak to przerabiając w swoim czasie pięć materaców znalazłem w jednym z nich pluskwy i nie tylko że ich nie usunąłem, ale dorzuciłem po parce do

czterech pozostałych materacy. A to wszystko w tym celu, żeby na przyszłą wiosną znowu przysłano mi je do przeróbki. Była to prawda, ale przecież trzeba jakoś ułatwić sobie życie i wiadomo, że wszyscy tak postępują, a trzeba było mojego pecha, żeby ta historia wyszła na światło dzienne. Krótko mówiąc] wybuchła po prostu rewolucja, kobiety obiegly mój sklep i chciały rzucić się na mnie z kijami. Zjawiła się nawet policja i spisała protokół. Tym razem było to już po raz ostatni. Sprzedałem maszynę do szycia, resztę gratów i wymknąłem się nocą, po kryjomu jak złodziej.

A teraz chciałbym zapytać, czy jest jeszcze drugi człowiek, którego los prześladowałby tak jak mnie? Chciałem pracować uczciwie, spokojnie, no, powiedzmy, pomagać sobie trochę sprytem, ale nie w większym stopniu, niż to robią inni. Jednym słowem, chciałem być dobrym fachowcem, i zostałem bezrobotnym. Gdybym miał przynajmniej trochę pieniędzy, otworzyłbym sobie knajpę: jak wiadomo, do wina dolewa się wody i tym sposobem mógłbym może wypłynąć na powierzchnię. Ale nie mam już ani grosza i przyjdzie mi pójść gdzieś na służbę. A każde dziecko wie, że kto żyje z pensji, przymiera głodem. Albo los wziął się na mnie, albo ktoś rzucił na mnie urok. Żoną zaszyła mi do portfela obrazek świętego patrona, noszę poza tym przy sobie niezliczoną ilość amuletów, przy każdej okazji wystawiam dwa palce przed siebie. Nad drzwiami mieszkania przybiłem

podkowę ze wszystkimi hacelami. Ale szczęścia nie mam, nie miałem i nie będę miał aż do śmierci. Wróżka, do której poszedłem, żeby dowiedzieć się w końcu, kto mi źle życzy, kiedy zobaczyła moją dłoń, wzniosła obie ręce do góry i zawołała: – Ach, co ja widzę, co ja widzę! –• Przestraszyłem się i zapytałem, co widzi, a ona odpowiedziała: – Synu mój, nad tobą ciemna gwiazda!... Wszyscy są do ciebie wrogo usposo-; bieni. – Co mam robić? – Nie zrażaj się przeciwnościami losu..? miej w BogU nadzieję. – Zaprotestowałem: – Przecież ja zawsze wypełniałem swoje obowiązki. – A ona: – Co ci z tego przyjdzie, synu, żeś zawsze wypełniał swoje obowiązki, skoro jesteś otożony nienawiścią, chyba tylko satysfakcja, że masz czyste sumienie. –A
Odpowiedziałem jej: – Tak, mnie wystarczy to, że mam czyste sumienie, na resztę machnąłem ręką.
Przełożyła IM Zofia Ernstowtą

Koszmarny dzień
(La giornata nera)

I potem mówią, że tak nie jest. Wielu nie wierzy w pecha, ale ja mam dowody. Jaki to był dzień przedwczoraj? Wtorek % siedemnastego. A co to się stało z rana, zanim wyszedłem? Szukając chleba w kredensie, wysypałem sól. Kogo spotkałem ~na ulicy, za ledwie wyszedłem? Dziewczynę garbatą, z włochatą, szczecinowatą myszką na twarzy, dziewczynę, której w naszej dzielnicy – a przecież znam wszystkich – nigdy nie widziałem. Ca zrobiłem wchodząc do garażu? Przeszedłem pod drabiną robotnika, który reperował ogłoszenia neonowe. Który z mechaników pierwszy się do mnie odezwał w garażu? Ten, żeby nie wymienić jego nazwiska, co to wszyscy o nim wiedzą, że przynosi nieszczęście... z tą swoją twarzą wykrzywioną i z wstrętnymi oczyskami pełnymi żółci. Jeszcze wam mało? To macie dodatek: jadąc na postój o mało nie przejechałem czarnego kota, który przeleciał mi drogę, wypadając nie wiadomo skąd, tak że musiałem nagle zahamować, potwornie 'zgrzytając.

Na postoju na placu Flaminiof parę kroków od

dworca kolei do Viterbo, długo nie czekałem. Była może siódma, kiedy oto widzą biegnących, jakby tańczyli tarantelę, dwoje ciołków, takich prawdziwych ze wsi. On niski i krępy, w czarnych spodniach, przepasany szerokim pasem, w kamizeli i w koszuli bez kołnierzyka, twarz spłaszczona, czarna od zarostu, jednooki: jedno oko zamknięte, drugie rozdziawione; ona – chyba matka – ubrana jak Cyganka, w czarnej spódnicy, w czarnej chustce, twarz jak z żółtego bukszpanu, cała w zmarszczkach; w uszach złote pierścienie. Obładowani- też byli jak osły zawiniątkami, paczkami, pękami sałaty i chustkami pełnymi pomidorów. Nic nie mówiąc, jednooki podał mi kawałek papieru, na którym podskakującymi literami, podobnymi do nut muzycznych, napisany był adres: plac Pollarola. Plac ten znajduje się tuż obok targowiska na Campo dei Fiori. Ona tymczasem w wielkim pośpiechu ładowała wszystkie te dary Boże do taksówki. Odwróciłem się, by obejrzeć, co się dzieje, i odezwałem się: – Zdaje się, żeście mnie wzięli za ciężarówkę od zieleniarza.

Odpowiedział mi on, przez zęby, nie patrząc na mnie: – To są same dobre rzeczy... wszystko świeże... leć, bo się śpieszymy.

Włączyłem motor i poleciałem. Podczas jazdy usłyszałem, jak mówił do tej kobiety: – Patrz, gdzie stawiasz nogi, zgmiotłaś mi pomidor. – I zaraz sobie pomyślałem, że mi ubrudzili taksówkę. I rzeczywiście, jak tylko przyjechałem na plac Pollarola, obróciłem się i zobaczyłem, że urza-

dzili mi naprawdę istne pobojuwisko: liście sałaty, ziemia, woda, rozgniecione pomidory, wcale nie ten jeden tylko. Zły, odezwałem się: – A teraz kto mi zapłaci za uszkodzenie poduszki? I

– To drobiazg – powiedział on wyjmując chustkę z kieszeni i wycierając tam, gdzie brud był naj wyraźniejszy. Rozwścieczony, syknąłem: – Nie masz co wycierać, narobiłeś mi szkody na tysiące lirów.

Ale on nie zwracał już na mnie uwagi. Pomagał kobiecie przy wyładowywaniu pakunków, powtarzając: – Prędeji, ruszaj się, zdejmuj. – Wtedy zawołałem do niego: – Hej! Nie bądź taki cwany, mało, żeś ślepy, może ogłuchłeś także, co? Do ciebie mówię... -Kto mi zapłaci za tę skórę na poduszce?

Rozdrażniony, odwrócił się mówiąc: – Poczekaj, nie widzisz, że wyładowuję?

– Ale ja chcę, żebyś zapłacił za szkodę.

Skończył wreszcie. – Trzymaj – powiedział kładąc mi do ręki pieniądze za kurs – zabieraj i zjeżdżaj!

– Coś ty zgłupiał? A co mi po tym?

– Nie wystarcza ci?

– To za kurs, w porządku. Ale za szkodę...

Byliśmy teraz naprzeciwko siebie^ on i ja. Kobieta trzymała się z boku, nieruchoma, spokojna, pomiędzy tobołkami. Odezwał się: – Zaraz ca zapłacę – po czym rozejrzawszy się po placu, który i tej porze jest zwykle' pusty, włożył rękę za pazuchę. Myślałem, że wyjmie pieniądze, tym

czasem był to nóż sprężynowy, jakiego używają pasterze. – Przyjrzyj mu się. – Odskoczyłem w tył; on zamknął nóż i dodał: – Tośmy się dogadali?

f. Gotując się ze złości, wskoczyłem z powrotem do taksówki, zapaliłem, zakręciłem na placu i potem z dużą szybkością ruszyłem wprost na tę kobietę, która w dalszym ciągu stała nieruchoma koło swoich tobołków. Cudem odskoczyła, a ja wpadłem w te wszystkie jarzyny, robiąc istną rzeź. On krzyknął coś, czego nie dosłyszałem, i skoczył na stopień. Odjąłem jedną rękę od kierownicy i trzasnąłem go w twarz tak, że musiał zejść; ale straciłem kierunek i wyrznąłem o mur. Udało mi się jednak naprostować i odjechałem. Na moście Vittorio zatrzymałem się wreszcie i przyjrzałem maszynie: błotnik był odrapany i wykrzywiony; poza brudem – szkoda naprawdę na tysiące lirów. Dobrze się zaczynało. -

Wściekły, klnąc ciołków i wieś, zrobiłem jeszcze pięć nędznych kursów po dwieście, trzysta lirów. O drugiej znalazłem się wreszcie na Dworcu Głównym w ogonku innych taksówek. Nadjeżdża pociąg, ludzie się wysypują, taksówki odjeżdżają jedna po drugiej, nadchodzi i moja kolej, wsiada jakiś jegomość tęgi i wysoki, łysy, w binoklach na okrągłej i wygolonej twarzy, z małą walizeczką – Ulica Macchia Madama – mówi sucho.

Ulic Rzymu nikt nie zna wszystkich, ale tak, mniej więcej, na nosa, odgaduje się. O tej ulicy

Macchia Madama słyshałem jednak po raz pierwszy. – Gdzie to jest? – zapytałem

– Niech pan jedzie do Stadionu Italskiego, potem panu wskażę.

Nic nie mówiąc ruszyłem. Lecę, lecę i lecę. Oto ulica Flaminia, oto most Milvio, za mostem Milvio skręciłem na nadtybrze, w stronę Stadionu.

– Teraz pierwsza na prawo i potem jeszcze na prawo! – zawołał.

Byliśmy już u stóp Monte Mario. Za Stadionem, otoczonym gołymi posągami, ruszyłem ulicą pod górę. W połowie wzniesienia na tabliczce, przybitej na palu wśród krzaków, widniał napis: „Ulica Macchia Madama”. Ale nie była to żadna ulica, tylko wiejska ścieżka, same kamienie i piach.

– Mam tu wjechać? – zapytałem.

– Oczywiście – odpowiedział.

– To pan mieszka u diabła za rogatkami –1 wyrwało mi się.

– Niech pan nie będzie taki dowcipny... ulica jak każda inna.

Przełknąłem, jak to mówią, pchnąłem maszynę po ścieżce. Dziur i kamieni lepiej nie liczyć; z jednej strony miałem zbocze góry pokryte krzakami jałowca, z drugiej – urwisko; w dole panorama Rzymu. Jechałem coraz wyżej i wyżej, na zakrętach – tak były ostre – musiałem często dawać tylny bieg. Wreszcie, na szczycie ostatniego podjazdu – brama. Wjeżdżam przez bramę, zakręcam na placu żwirowanym, bez

drzew, przed białą willą, zatrzymuję się. Ón wysiada i szybko podaje mi pieniądze za kurs. ■— To kurs – zaprotekowałem – a za powrót?

— Jaki powrót?

— Tu jesteśmy poza Rzymem, pan musi zapłacić za powrót.

— Nic nie płacę, nigdy nie płaciłem za powrót i dziś nie zacznę płacić^

Powiedziawszy

to oddalił się szybko w stronę willi. Zdesperowany, krzyknąłem za nim: – Dopóki mi pan nie zapłaci powrotu, ja tu zostaję, żebym miał tak stać do wieczora! – Zobaczyłem, że wzruszył ramionami, a potem, gdy drzwi się otworzyły, i wszedł do domu. Zdawało mi się, że spostrzegłem człowieka w białym fartuchu, w chwili kiedy drzwi się otwierały. Przyjrzałem się willi. Miała wszystkie okiennice zamknięte, okna na parterze 1 opatrzone były kratą. I ja wzruszyłem ramionami* /] wróciłem do taksówki, która na słońcu już się rozgrzała, usiadłem przy kierownicy, wyjąłem z kieszeni bułkę i zacząłem jeść powoli, w tej zupełnej ciszy, przyglądając się poza brzegiem urwiska panoramie Rzymu. Potem zachciało mi się spać, zasnąłem w tym piekącym słońcu i spałem chyba godzinę. Obudziłem się z biciem serca, J ogłupiały, spocony, i zobaczyłem, że wszystko było jak przedtem: pusty placyk, willa z zamkniętymi- i mi okiennicami, słońce, cisza. Rozdrażniony, zacząłem trąbić klaksonem, myśląc: "Ktoś wreszcie przyjdzie". Na te klaksonowe wrzaski ktoś rzeczywiście |

przyszedł. Czarny człowieczyzna, wyglądający na zakrystiana, ubrany w surowy jedwab, wyszedł zza willi, przedreptał przez placyk i zbliżył się do mnie. – Wolny?

– Tak.

– No, to zawieź mnie do Świętego Piotra.

Pomyślałem, że wszystko to dobre, co się dobrze kończy. Do Świętego Piotra to dobry kurs, a przede wszystkim odbiłem sobie powrót. Włączyłem motor i ruszyłem. Co prawda, wydawało mi się, kiedy wyjeżdżałem z bramy, że widziałem kogoś w jednym z okien, kto dawał mi jakieś znaki, ale nie zwróciłem na to uwagi. Zjeżdżałem powoli, zakręt za zakrętem, jakieś pięćdziesiąt metrów po tej ścieżce, potem na ostrzejszym zakręcie musiałem dać tylny bieg. Aż oto nagle, na złamanie karku po urwisku biegną łapiąc się krzaków i wymachując ramionami dwa ogromne dryblasy w białych fartuchach: – Stój! Stój! – Zatrzymałem, jeden z nich otworzył drzwiczki i bez wielkich ceremonii powiedział do człowieczka, który skulił się w głębi taksówki: – Chodź, mój miły, wyłaź... i bez scen.

– Ale na mnie czeka papież.

– No cóż, pójdziesz innym razem, wysiadaj... prędko.»

Wysiadł wreszcie i dryblas wziął go zaraz za ramię, podczas gdy drugi tłumaczył mi: – Jest zwykle bardzo spokojny, dlatego pozostawiamy go na swobodzie, ale z wariatami nie można nigdy wiedzieć.

.– Ach, więc to była klinika dla wariatów?

– Toś się jeszcze tego nie domyślił?

Nie, nie domyśliłem się; i ostatecznie straciłem cały czas stania tam na górze plus powrót. Było już popołudnie, a rano było, naprawdę koszmarne. jPojechałem na postój w alei Pinturicchio i tam, może nie uwierzycie, czekałem blisko cztery godziny.

Wreszcie, już o zmroku, zjawia się młody człowiek, brunet, w sportowej koszulce bez rękawów pod marynarką, z długimi włosami, praw- • dziwy byk, pod rękę z dziewczuszką pulchną i tro-: chę krzywą. – Zawieź nas na Gianicolo – powiedział i wsiedli. Zacząłem lecieć jak opętany i co pewien czas patrzyłem w lusterko. Na wysolp gości nadtybrza Flaminio, w miejscu pustym, złapał' dziewczynę za włosy, odrzucił jej głowę do tyłu i pocałował w usta. Ona jęczała: – Nie, nie, niedobry – a potem naturalnie objęła go za szyję i oddała pocałunek. Całuj i całuj, nie było już końca. Zazwyczaj nie jestem surowy dla zakochanych par, ale tego dnia po tyłu nieszczęściach ogarnął mnie istny szał. Zahamowałem i gwałtownie zatrzymałem wóz oświadczając: – Jesteśmy.

– Już Gianicolo? – zapytała ona, wynurzając się z uścisku ze szminką rozmazaną po całej twa- rzy.i rozczochranymi włosami.

– Nie, to nie Gianicolo,, ale jeżeli nie będziecie siedzieć spokojnie, dalej nie jadę.

Na to on jak prawdziwy byk: – A co, to twój zamazany interes?

– Taksówka jest moja, jak się chcecie kochać, macie krzaczki w parku Borghese. Popatrzyl na mnie przez chwilę, po czym powiedział:

– Niech będzie i tak, dziękuj Bogu, że jestem z tą panią... zawieź nas na Gianicolo.

Nie odezwałem się i zawiozłem ich na Gianicolo, była już noc, oni wysiedli i kazali mi czekać, a sami stanęli przy murku i przez dłuższy czas przyglądali się panoramie Rzymu. Potem wrócili i on powiedział: – Teraz jedziemy do Kawalerów Maltańskich.

– Ale już jest tysiąc lirów.

– Jedź, nic się nie bój. .

Z Gianicolo do Kawalerów Maltańskich to cała podróż. Zdaje się, że znowu całowali się w taksówce, ale już nic mnie nie obchodziło, chciałem tylko pieniędzy. Przy Kawalerach Maltańskich, w tych pustych ulicach, kazali mi zatrzymać się przy kościele Świętej Sabiny. Jest tam placyk i wejście do opasanego murem ogródka, z którego ma się widok na Tyber. Znowu kazali na siebie czekać, wysiedli i weszli do ogrodu. Było ciemno, powietrze przyjemne, ostatnie jaskółki fruwały przed pójściem spać, zapach magnolii taki mocny, że aż oszołamiał. Idealne miejsce dla zakochanych; i myśląc, że w gruncie rzeczy tych dwoje dobrze robiło całując się i że ja na ich miejscu uczyniłbym to samo, czekałem na nich chętnie. Czekałem tak może pół godziny odpo-

czywając w tej ciemności cichej i świeżej. Nagle wzrok mój padł na taksometr, spostrzegłem, że wybił już dwa tysiące lirów, opamiętałem się, wysiadłem, wszedłem do ogródka. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby zobaczyć, iż nikogo tam nie było, a wszystkie ławki stały puste pod drzewami. Było drugie wejście od ulicy Świętej Sabinny, tamtędy na pewno wyszli, by zejść potem, objęci jak prawdziwi zakochani, w dół, w dół, aż do Circo Massimo. Słowem, nacięli mnie.

Wściekły, przeklinając swoje nieszczęście, zjechałem i ja w dół przy świetle księżycy. Przy obelisku Aksum zatrzymał mnie policjant. – Mandat. Nie wiecie, że w nocy nie wolno jeździć ze zgaszonymi światłami?

Ale przy Colosseum nareszcie klient, jakiego oczekiwało moje serce: garbus w białej koszuli z kołnierzykiem & la Robespierre, marynarka £od pachą, garb wysoki ponad głowę pozbawioną szyi. – Za późno – mruknąłem przez zęby. – Co pan mówi? – zapytał wsiadając. – Nic, dokąd jedziemy? – Podał mi adres, włączyłem motor i ruszyłem.

Przełożył Ryszard Landau

